



Warszawa d. 15 (27) Stycznia 1878.

N^o 4

Serya piąta.—Rok trzynasty

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie: rocznie rs. 6,—półrocznie rs. 3,—kwartalnie rs. 1 kop. 50—miesięcznie kop. 50. Redakcja i Ekspedycja główna: ulica Czysta N^o 415 (nowy N^o 2).

Każdomiesięcznie jako premium dołącza się jeden tom powieści lub utworów popularno-naukowych, oraz przy każdym numerze arkusz dzieła „Panteon wiedzy ludzkiej.”

Prenumerata na Prowincyi:

Rocznie rs. 8,—półrocznie rs. 4,—kwartalnie rs. 2.

W Austrii, we Lwowie: w księgarni Richtera, cena roczna 14 guldenów;—w W. Ks. Poznańskim u M. Leitgebera 8 talarów.

SPIS ARTYKUŁÓW: Jutrzenka we Francyi. — Kresy dżejowe. Szkic A. G. Bema. — Mikołaj Niekrasów. — Osady polskie w Stanach Zjednoczonych, przez Litwosa. (d. c.). — Pius IX i przyszły Papież. Ruggera Bonghi. III. — Stronnictwa w Galicyi. II. — Proboszcz Paintoux, przez Emila Zolę. — Z prowincyi. II. — Kronika Powszechna. — Przegląd Polityczny. — Wiadomości handlowe. — Do wszystkich. — Echa IV.

Jutrzenka we Francyi.

Kto sobie przypomni długich dla Francyi pięć lat ostatnich, kto unaczni te wszystkie walki wrogich stronnictw, które zakłócały kraj wewnątrz a poniżały go na zewnątrz, spychając z dziejowej kolei do nicności—ten zapewne zrozumie radość patriotów francuzkich bez różnicy przekonań, kiedy piękna ich ojczyzna wychodzić zaczyna z tego okropnego stanu, kiedy jej błyska nowa jutrzienka odrodzenia. Radość tę wolno podzielić wszystkim uczciwym ludziom w Europie, wszystkim narodom, mającym interes w tryumfie postępu, zasad wolności i światła. To uczucie niekoniecznie potrzebuje mieć za podstawę bezpośrednie rachuby: Rzeczpospolita z 1871 r. tem się różni od wszystkich jej poprzedniczek, iż, będąc następstwem strasznego politycznego kataklizmu, przychodzi z rószczką pokoju, wyrzeka się pretensyi odradzania świata i myśli tylko o zagojeniu ran własnej jej ojczyzny. Trzeba przyznać mianowicie republikańskiemu obozowi, iż nie on nie zrobił ani czynem, ani, co ważniejsza, słowem, coby pobudziło czyjekolwiek nadzieje, coby dało otuchę cudzym interesom, bez zamiaru ani możności spełnienia obietnic. To też Republika dzisiejsza jak z jednej strony w różnych społeczeństwach nie budzi interesowanej lub bezpodstawowej sympatii, tak z drugiej nie jest groźbą; mimo to wszystko, co oświecone i prawe w Europie życzyć sobie musi spokojnego i pomyślnego rozwoju francuzkiej Rzeczypospolitej. Z tem łączy się nietylko wzgląd na rozwój postępu, którego Francya dzielnym jest szermierzem, ale nadzieja, iż ustalone stanowisko tego narodu pozwoli mu odzyskać należny wpływ w Europie, co przyczyni się do szybkiego zamknięcia peryodu panującej reakcyi. Bez optymistycznego nawet poglądu można przyjść do wniosku, iż dwa żywioły, walczące dziś w Europie, prędzej sobie porzucą koncesye, a zatem wejdą w karby prawa, im stronnictwa wsteczne mniej będą miały nadziei pomocy materyjalnej od któregośkolwiek z wielkich państw. Dotychczas dla wszystkich stronnictw europejskich wstecznych Francya w usługach klerykałów „była owym rycerzem bożym”, który

miał im wywalczyć panowanie świata. Gdy więc, jak na teraz, nadzieja ta znikła, a rok 1880 prawdopodobnie wykaże nicość ultramontańskich na Francycę spekulacyj, ogólna sprawa postępu znajdzie się na równiejszej drodze, a głośna walka przycichnie we wzajemnych z obu stron dla siebie koncesyach. Nikt pewno nie wątpi, jak bardzo z naszego stanowiska musimy pragnąć takiego obrotu rzeczy; walka bowiem dwóch przeciwnych stronnictw, ścierających się w Europie, naszemu społeczeństwu zadaje klęski na polu plemiennem i obudza w niem instynkta fanatyczne, najzupełniej usposobieniu narodowemu przeciwne i z jego interesami niezgodne.

Wprawdzie może ktoś zarzucić, iż wzmocnienie się Francyi, dla której jutrzienka błyska, jest zarazem początkiem odwetowej wojny przeciw Niemcom, a zatem grozi nowym kataklizmem cywilizacyjnym interesom ludow. Być może, iż taka wojna będzie miała kiedy miejsce, ale nie będzie ona straszną dla postępu, jeśli wyjdzie z rąk silnej, postępowej Republiki. W takich warunkach wojenny epizod może tylko na korzyść Europy postępowej wyjść, gdyż na nim nie zarobią wstecznicy i w takiej wojnie stronnictwa liberalne nie będą dla siebie widziały groźby. Zresztą, jeśli wolno wierzyć jasnym znakom, oraz głośno i czynami popartym programom republikańców francuzkich, chwila odwetowej wojny nie jest bliską. Francya bowiem patriotyczna czuje, że do takiego aktu musi stanąć odrodzona wewnątrz i przygotowana dostatecznie. Dla tego też zwycięstwo Rzeczypospolitej francuzkiej nad stronnictwami wstecznymi jest zwycięstwem ogólnie europejskim, jest jednym z rzadkich dziś faktów, radujących ludzkość. Że tak jest, dowodzi zachowanie się całego europejskiego stronnictwa wstecznego, tak w chwili sławnego przesilenia we Francyi, jak i obecnie. Dość odczytać jakikolwiek dziennik z odcieniem klerykałnym, choćby miał on nawet pretensję do dobrego tonu, ażeby się przekonać, ile gorocy, ile tajonej wściekłości kipi w tem stronnictwie, które widzi wszystkie swoje nadzieje, już tak blizkie urzeczywistnienia, zawiedzionemi. Jak olbrzymim był nacisk ze strony klerykałów i bonapartystów na Mac Mahona, dowodzą dzieje formowania się obecnego gabinetu francuzkiego i ujawniające się fakta, świadczące o pewnych militaryjnych przygotowa-

niach do zamachu stanu. Nawet jasna i logiczna zasada trzymania armii po za obrębem politycznych walk naruszoną została przez klerykałów! Lecz gdy przekonano się, że nawet w tym kierunku nie można liczyć na pewną pomoc, rozczarowanie stronnictwa było okropnem. Gabinet z 16 Maja Broglie—Fourtou robił wszystko, co zrobić można było; zrobił nawet więcej, niż robić się godziło: skompromitował bowiem dwiema najniezręczniejszymi odezwaniami samego prezydenta. Nie szczędzono partyi republikańskiej posadzeń o demagogię, płakano, jak to się zwykle dzieje, nad panowaniem stronnictwa wyrotu, przepowiadano okropne skutki drugiej komuny, dowodzono, że liberalni zaprzędani są Prusakom i działają na ich korzyść—i wszystko napróżno! Kraj przysłał większość republikańską. Lecz postanowiono nie kapitulować przed wolą kraju. Utworzono nowy gabinet „talentów”, wyteżono wszystkie siły, aby senat przeciągnął na stronę wstecznej koalicji, przygotowano nawet armię—i galy to się nie udało, musiano ustąpić. Powiadają, że Mac-Mahon, przekonawszy się, iż tak wewnątrz jak na zewnątrz niepodobna ciągnąć dłużej oporu, ze łzami w oczach podpisywał znany mesaż z 14 Grudnia, w którym cały okres od 16 Maja do tej chwili zaprzeczenie znalazł. „Chcecie mojej niesławy—wołał on—dobrze, macie ją! Obyście mi jej kiedyś nie wyrzucali”. Trudno się temu dziwić, iż człowiek, któremu ciągle kładziono w uszy, że stoi *po nad* konstytucją, uważał sobie za ujętą stanąć *za* konstytucją; trudno to z pana zostać pierwszym sługą, jeśli się niema jasnego o prawie pojęcia. Mac-Mahon nie pojmował, iż, podpisując mesaż z 14 Grudnia, wszedł na drogę, z której nigdy nie powinien był schodzić. Biedny marszałek, może dziś jeszcze nie wie, iż Francya a nawet Europa zapomną mu pewno 16 Maja, ale nigdy nie zapomną 14 Grudnia, który dowodzi, że prezydent może być człowiekiem słabym, ale jest uczciwym.

Dzień ten w oczach ultramontanów uchodzi za pogwałcenie konstytucyi z 1871! ale w oczach narodu i Europy jest dniem uznania prawa, aktem uległości dla zasady wyższej, dla zasady sprawiedliwości.

To też od tego dnia pamiętnego Francya poczęła doświadczać wszystkich skutków, jakie rodzi zgoda między większością narodu a rządem. Gabinet obecny jest ciałem

rzędzącym pod sterem konstytucyjnego prezydenta. Skład jego dobrze jest znany. Prezes Dufaure, siedmdziesięcio-ośmio letni starzec, używa reputacji dobrego katolika, lecz jest republikaninem zdecydowanym i uczciwym człowiekiem; de Marcère, niedługo legitymista, dziś republikanin, pełnił już raz urząd ministra spraw wewnętrznych; Say i Freycinet już tem się nie podobali ultramontanom, że są protestantami. Lecz najwięcej zarzutów w tym obozie wywołało objęcie teki spraw zagranicznych przez Waddingtona. Jest to człowiek bardzo bogaty, umiarkowany, bardzo wykształcony archeolog, członek Instytutu — lecz dla legitymistów i ultramontanów nie hrabia, ani nawet vice-hrabia! Ież to jęków uronily klerykałne dzienniki, iż „tradycje francuzkiej dyplomacyi, tak świetnie reprezentowane przez arystokrację, idę w poniewierkę!” Czyż taki człowiek nowy, jak Waddington, potrafi „robić politykę” francuzką? Skrzętnie Waddingtonowi wyszukano jego stosunki pokrewieństwa z rodziną niemiecką w Bunsen i zaopiniowano, iż swą nominację winien zaleceniom pruskiego posła Hohenhöhe’go! A jednak, czyż można było znaleźć większych fagasów politycznych, jak w hrabskim ministerjum Brogliego? Rzecz to znana w Europie. To też Waddington nie myśli w ich ślady wstępować, a ufny w uspokojenie kraju i poparcie, jakie daje większość narodu, w znanym swym okólniku do agentów zagranicznych, z powodu wystąpienia Anglii w kwestyi Egiptu, zapowiada neutralność Francyi, szczerą jej chęć pokoju, ale nie za wszelką cenę, ani nie w każdym wypadku. To dziwo, stanowczy, choć spokojny głos Francyi — głos po raz pierwszy od lat pięciu słyszany — nie tylko nie wywołał w Europie oburzenia, ale posłyszano go z radością, jako dowód, że Francya poczyna wychodzić ze swej niemocy i, odzyskując siły, odzyskiwać zaczyna prawo głosu na radzie europejskiej. Prawdopodobna misja Gambety do Rzymu, którą śmierć Wiktora Emanuela tak tragicznie przerwała, dowodzi, iż Francya tam nawet nie waha się stawić kroku, gdzie jej przychodzi walczyć z wpływem niemieckim. I znowu Niemcy nic nie mówią, ale przesadzają się w zbyt licznych dla Gambety pochwałach. Jeżeli do tego dodamy zaznaczone głośno przez rossyjskie dzienniki ochłodzenie sztucznych w Paryżu sympatyj do Rossyi, ściśle

z Prusami zjednoczonej, będziemy mieli obraz dążenia do większej niezależności politycznej, jaką Francyi nowy inauguruje gabinet. W dążeniu tem nie ma jednak nic dla Europy niepokojącego; Republika bowiem dzisiaj nadewszystko pragnie się utrwalić wewnątrz i zdążyć do rozwoju swych prac pokojowych. Przedewszystkiem pamięta ona, iż oczekuje ją rok 1880, kończący obecny peryod prezydentury i naznaczony jako epoka rewizyi konstytucyi. Potrzeba przebycia tej kryzys i zapewnienia Republice dalszego bytu żywo gra w republikanach. Z mów, jakie mieli Gambeta, wracający z Włoch w Marsylii i Leon Renault, przewodniczący obecnie stronnictwu republikańskiemu, jasno pokazuje się, że cały program do tego zmierza. Trzeba przyznać Gambecie, iż przemawiał jak najdorzalszy mąż stanu; zaznaczył on przedewszystkiem, iż dla dobra stronnictwa lepszy jest jeden dzień przy sterze rządu, jak lata w opozycji, iż dla tego dzisiejszy gabinet, dzierżący ster Francyi, powinien być popierany przez wszystkich republikanów, którzy mają już większość w Izbie, a przez wybory departamentalne i gminne, jakie wypadły w duchu republikanów, także większość będzie w senacie. Zgoda tych ciał z sobą, zgoda z krajem zapewni w stosownym duchu rewizję ustawy, utrwali Republikę. Ale stronnictwo powinno umiarkowanie i patriotycznie używać swego zwycięstwa, powstrzymaniem się od wszelkich zaleźstw, karnościami dać dowód, iż godnym jest piastować władzę nad narodem francuzkim.

Mowa Renaulta wskazała nietylko potrzebę poparcia rządu, ale i środki, jakie stronnictwo republikańskie ku temu obrać zamierza: „Na zewnątrz musi ministerstwo korzystać z każdej nadarzającej się sposobności, by dać Europie potrójną rękomię, że nie podlega ultramontańskim prądom, że dalekiem jest od każdej myśli o uzurpacji i zdobyczach, a zawsze wrogo usposobione przeciw zabiegom socyalistycznej i rewolucyjnej propagandy”. „Dalej będzie ministerjum czuwać, aby armia nie mieszała się do walk politycznych — bo jej zadaniem jest obrona praw i ojczyzny”. „Jeżeli cesarstwo, mimo swego nędznego upadku, posiada we Francyi pewną liczbę zwolenników, stało się to jedynie z przyczyny, iż wielu obywateli dało się przekonać, jakoby zdumiewający rozwój powszechnego bogactwa zawdzię-

zać należało panowaniu cesarstwa. Nacjonalne fakta powinny nawrócić nawet tych, którym wojna z 1870 r. nie otworzyła dotychczas oczu. Niech zatem gabinet przedłoży Izbie dobrze opracowany program wielkich robót publicznych, w którychby miliony narodowych oszczędności znalazły korzystne pomieszczenie; niech śmiało zażąda kredytu na wybudowanie naszych dróg wicinalnych, niech w duchu słuszności rozwiąże piekące kwestye zrujnowanych kolei drugorzędnych i umożliwi podjęcie operacyi, któreby wykończyły naszą sieć kolejową”. „Niech zarazem wspomaga postępowanie ludu. Niech stworzy nam Republikę, która, nietylko zajmując się pielęgnowaniem bogactw narodowych, pamiętałaby także o uszlachetnieniu ducha i obyczajów demokracji, w której rękach spoczywają jej losy. Plany Waddingtona leżą przed nami jasno sformułowane i przyjaciel nasz Bardoux potrzebuje tylko przyswoić je sobie. Przyjęcie ich niezwłoczne jest pewnem, a z pomocą tego wkrótce najmniejsza nawet miejscowość we Francyi będzie miała swoją szkołę; ogólny zaś obowiązek uczęszczania do szkoły, obok bezpłatnego udzielania nauk, znajdzie pomieszczenie w naszych ustawach”.

Dwie te mowy Gambety i Renaulta streszczają prawie cały program stronnictwa republikańskiego na teraz. Jeżeli ten program będzie sumiennie spełniony, da on Francyi nową siłę i piękny ten kraj postawi na właściwej mu stopie potęgi w Europie. „Od ministerstwa i od nas dziś zawisło — woła w końcu Renault — by prawa, zdobyte przez ojców naszych w 89 r., znalazły pole popisu swej bezgranicznej siły twórczej w systemacie działalności wolnych, interesom, potrzebom i zabiegom francuzkiej demokracji odpowiadających instytucyi. Jakież widoki otwierają się dla nas, jaka zachęta dla naszego patriotyzmu! Któremuż prawdziwie republikańskiemu duchowi wydawała się praca za ciężką, a ofiara za twardą, gdy idzie o to, aby taką przyszłość stworzyć naszej ojczyźnie”. Francya dawno nie słyszała słów tak szczerych i tak patriotycznych, dawno jej jutrzienka nie świeciła tak jasno.

ECHA WARSZAWSKIE.

IV.

Każdy wiek ma swoje prawa, każdy stan swoje przyjemności, a każdy wiek i stan ma takie dni w roku, które najlepiej służą do swobodnego odetchnięcia po całorocznej pracy i użycia zabawy całą duszą. Ojcowie rodzin, a zwłaszcza ojcowie pięknych córek, cieszcicie się i używajcie obecnego czasu, zrywajcie wam przeznaczony. Domyślcie się, że mamy na myśli okres kilkudziesięciu dni, zawartych pomiędzy Nowym Rokiem i Środą Popielcową, który ze względu na was niesłusznie nazywa się karnawalem. Żle spolszczone łacińskie wyrażenie *carne vale* tworzy dwuznacznik, który w żadnym razie do was stosować się nie może. Gdyby tu mowa była o karnawale w Niemczech lub Francyi, zapewne można by boleć nad losem ojców, którzy dla przyjemności swoich córek przez cały rok muszą należeć do rozmaitych klubów, stowarzyszeń lub kółek, przez cały rok wnosić miesięcznie składki, a w czasie karnawału przynajmniej dwa razy w tydzień prowadzić córki na zabawę w klubach. U nas, na

szczęście, barbarzyński zwyczaj bawienia się wspólnymi siłami nie istnieje jeszcze i dzięki oporowi, stawianemu wpływom zgnitego Zachodu, karnawał jest porą roku, przeznaczoną dla istotnej zabawy naszych ojców i dla pogłaskania ich dumy. Nie potrzebują oni uciekać się do składkowych balów, nie potrzebują przez cały rok rezerwować sobie wielkiej sali w mieście, nie potrzebują piec swojej połędwicy, gęsi lub indyka przy wspólnym piecu, nie potrzebują zamawiać orkiestry, służby i światła, bo wszystko to mogą mieć u siebie. Wprawdzie połowa gości przypatruje się przez otwarte drzwi tańczącym parom, w kanapach drzemiące mamy co chwila sykać pod naciskiem zataczającej koła stopy, naftowe lampy o żółtych światłach drżą po kątach z obawy spadnięcia, a zmęczone panny królstwo dają za szklanekę limonady, której Grześ nie może nadażyć roznosić; wprawdzie, orkiestra złożona z fortepianu i skrzypiec, od północy już kotów wyplaszają z sąsiednich dachów, a kucharz, jeżeli nie spał przynajmniej jednej potrawy, to spóźnił się o całe dwie godziny z podaniem kolacyi, ale za to bawimy się u siebie. Z jakąż to słuszną dumą ojciec spogląda na zabawę, której sam wyłącznie jest promotorem aż do najdrobniejszych szczegółów. Cokolwiek się tu dzieje, wszystko naprzód obmyślił,

wszystko sprowadził i wszystko urządził. Niema salonu na całym zachodzie, któryby mógł poszczycić się takim ożywieniem i tak doboranem towarzystwem. Nikt tu nie znajduje się przypadkiem, nikt tu nie jest obcy, jak się to zdarza w kassynach i kółkach zagranicznych, bo wszyscy się dniem lub tygodniem wprzódy prezentowali gospodarzowi domu. Czasem tylko przy rekomendacyi tancerkom zachodzą małe nieporozumienia co do nazwisk, ale to nie dla tego, żeby gospodarz nie znał rekomendowanego przez siebie indywiduum; jest to naturalnym wynikiem całotygodniowego zajęcia się przygotowaniem zabawy i rozstrzeżenia myśli w tylu różnorodnych kierunkach. Koszt karnawałowych zabaw jest bagatelką w porównaniu z przyjemnością, jaką one przedstawiają dla ojca rodziny, a jeżeli jeszcze jest w stanie rywalizować kieszenią z korporacją, mającą w programie zabawy, wtedy szczęściu jego niema granic.

Wiwat karnawał ojców!...

Niezależnie od literackiego, świata pragnącego uczcić jubileusz Kraszewskiego wydawnictwem bądź to własnych dzieł jego, bądź też zbiorową literacką pracą, malarze nasi podali dwa projekta wyrażenia hołdu zasłużonemu pisarzowi. Pierwszy z nich

KRESY DZIEJOWE.

SZKIC

A. G. BEMA.

I.

Naród nasz, jak wszelki żywy organizm, miał w przeszłości swej chwile, w których, jeśli nie zboczył, to mógł zboczyć z uprawnionego wiekami szlaku. Do chwil takich — że pominięte zwrotne punkty epoki piastowskiej — zaliczyć wypada: bezkrólewie po śmierci Ludwika Węgierskiego wraz z dziećmi rządami Jadwigi, rok 1410, czasy małoletności Władysława III, przerwę, jaka nastąpiła po zgonie bohatera z pod Warny, parę momentów z długiego ciągu panowania Kazimierza Jagiellończyka, wreszcie prawie wszystkie od 1572 r. elekcye i burze wojenne. Polska, po wygaśnięciu męskiego potomstwa Olgierdowica, z powodu ciągłej niezaradności politycznej swych kierowników-obywateli, więcej może niż jakiegokolwiek inne państwo narażoną była na wszelkiego rodzaju niespodziewane przełomy dziejowe; dzięki wszelako już to układowi zewnętrznych warunków, już to dość wytrwałej obronie piastowskich i jagiellońskich poddań, dwukrotnie tylko przestąpiła uświęcone nałożone prawo *rodowitości*: w r. 1573 i 1697, t. j. wynosząc na tron Henryka de Valois i Augusta II. Oba te zresztą mniemane wykroczenia łatwo wyjaśnione być mogą, jeżeli pomyślimy, że Henryk był francuskim księciem i bardzo na oko odpowiednim pionkiem dla budzącej się podówczas prawowiernej reakcji; elektor saski natomiast — świeżo nawróconym katolikiem, popartym przez nieodzowną sprężynę polskich bezkrólewí, Austryę. Niepodobna utrzymywać, iżby osoba króla w dawnej Polsce, owego pseudo monarchy, który od 1505, a bardziej od 1573 r., jest tylko pierwszym „stanem sejmującym”, oraz doczesnym szafarzem starostw i urzędów, wszechmocny jakiś, a wyłączny wpływ na naród wywierała; nie ulega jednak wątpliwości, że oddziaływanie władzów na społeczeństwo i u nas się uwidatniło.

Zkądinał znowu ta sama tradycja, która jak blade światło księżycy przyświecała bezmyślnym częstokroć wyborcom, ten sam na-

łóg i lenistwo stanowiły zawsze główny urok narodowego paladyum i zasłaniały skrzepłą budowę średniowieczną przed postępami, a zwrotnymi wiekami. Król w epoce pojagiellońskiej był niezbędnym, choć gotyckim tylko filarem państwowego gmachu; obok niego grupowało się stronnictwo polskich torysów i rozpierzońców na mnogie drużyny whigów. Był on zawsze dla narodu pomazańcem bożym, bezpiecznym — czego dowodzi brak przeciwnych założeń faktów — od pugiñalu Ravallaca i pistoletu Anokarströma¹⁾. Przywiązanie spadkowe do monarchów (nie wyłączając Augusta III, który, dzięki swej apatyi i *pobożności*, miał w kraju naszym tłumy wielbicieli) nie przeszkadzało bynajmniej walczyć z nimi do upadłego pod sztandarami różnych domów o zagrożone niby swobody szlacheckie; na gruncie takim wzrastała popularność nietylko Olesnickich, Górków, Zamojskich, ale nawet Zborowskich, Zebrzydowskich, Lubomirskich, Sapiechów, Potockich, Radziwiłłów, Rzewuskich i Branickich. Dwa te prądy — samowładczy i republikański — przesilając się ustawicznie i równoważąc, odprowadzają do grobu Rzeczpospolitą. Który z nich był potężniejszym i, że tak powiem, świętszym dla narodu? Łatwo odgadnąć: do połowy sejmów czteroletniego — oligarchiczno-republikański, później — samowładczy. Jak jeden tak i drugi przyjmował z biegiem czasu różne kształty, barwy, mienił się, maskował i kwiecił, a bezmyślny tłum szlachecki nazywał patryotą tego, kto jej serce sobie słowem i ruchem biesiadniczym zniewolił. Za Sasów i później, gdy opinia była w powiśkach, dość było zręczności potrzęsnać workiem i tpić się w liczniejszym towarzystwie (nie zaniebując wszelako toastu *prosperitatis publicae*), aby uzyskać tytuł obywatela, obrońcy złotych swobód. Dwór pod owe czasy miał zazwyczaj stronnika w tym, co sięgał po urząd lub królewską koronę; jeśli dar minął kandydata, przyjaciel stawał się wrogiem, a niewdzięczność obdarowanych

¹⁾ Przypominam sobie, że p. Kostomarov i nota posłów państw ościennych z r. 1776 nazywa konfederata Strawińskiego, czy kogoś z jego pomocników, *Ravallakiem*. Zabójcą znów Gustawa III, jeśli nie ze względu na czyn, to z powodu knowanych zamysłów mógłby ktoś w podobny sposób zestawić np. z naszym Krzysztofem lub Samuelem Zborowskim. Ale porównanie, jak mówią Francuzi, nie jest jeszcze rażą.

nie zasypiała długo. Tak więc władza rozdawnieza, którą się król cieszył aż do roku 1775, nie była wcale tarczą tronu, lecz szkodziwą a ciężką zbroją, oraz zachętą do gonitw bez końca za tytułem i groszem. Podobnie jak panowie, każdy król naturalnym popędem, o ile mógł, dążył jawnie lub skrycie do powiększenia swej władzy, każdy szukał dla siebie podpór między swymi i u obcych. Ztąd powstawała walka na sejmach, w trybunałach, w świątyni i na krwawym polu, walka na słowa i miecze.

Celem moim jest w tym artykule zająć się opowieścią i rozbiorem sejmowego gwaru z r. 1776. Krótki ów, bo dwumiesięczny moment ubiegłego życia uważam, jak z jednej strony, za ważne zjawisko w dziejach polskiego samowładztwa, tak z drugiej, za rozdroże i zaniedbany punkt zwrotny w historii narodu. Nim jednak do szczegółowej analizy przystąpię, wypowiem kilka niezbędnych uwag nad donioślejszymi faktami trzeciej ćwiartki wielkiego stulecia.

* * *

Schyłek XVIII wieku, w szczególności zaś siódma, ósma i dziewiąta jego dekada, ważne są bardzo, zarówno w polskiej, jak i powszechnej historii. Pomysł francuskich myślicieli — Russa, Woltera, Diderota, Helwecyusza, Raynala, włoska Bekaryi (Beccaria), szkotów Smitha i Hume'a, że pominię wielu innych, rozpowszechniając się po Europie, wpływają na ton gabinetowych wyroków, na barwę społecznych reform; są natchnieniem dla osób, stojących u państwowego steru, i opinii publicznej dźwignią. — Falandze pisarskiej towarzyszy grono ministrów i monarchów, skwapliwie przyoblekających w ciało każdą myśl postępową. — Wzrasta liczba „przyjaciół ludzkości”, chociaż czyni kłóć się niekiedy z myślą rodzicielką, a tłumy, jak zazwyczaj, przeciw narzuconemu z góry światłu szemrzą. Bądź co bądź, ministrowie ówczesni i władzcy, jak: Pombal w Portugalii, Aranda i Campomanes w Hiszpanii, Choiseul we Francji, Pitt starszy, Fox i Burke w Anglii, nade wszystko zaś Fryderyk W., Katarzyna i Józef II, krzewią ideje postępowe w imię władzy, potęgi i szczęścia swych ludów. W ślad za tą drużyną idzie odważny i światły król szwedzki Gustaw III, a obok nasz Stanisław August Poniatowski, któremu w każdym razie należy się miano wykształconego

pomysłu pana T. Maleszewskiego, polega na wydaniu albumu z prac malarzy bez uwzględnienia ich treści, drugi zaś zaproponowany przez p. Walerego Eliasza, malarza krakowskiego, ma na celu wyillustrowanie jednej z powieści Kraszewskiego, rozdzielając pojedyncze sceny pomiędzy rozmaitych malarzy. Według pana Eliasza najlepiej do tego się nadaje *Stara Baśń*, jako zawierająca w sobie malownicze sceny dla wszystkich odcieni malarzy. Ponieważ jednak w spełnieniu podanego zamiaru musi ktoś ster objąć, a że ludzi jednego zawodu zwykle dzielą różne czynniki na obozy często sobie przeciwne, więc ku temu potrzebna jest osoba znana artystom, a nie należąca do koła artystów. Pan Elias, poruszając tę sprawę w pismach publicznych, prosi wszystkie redakcje o powtórzenie jej i oddaje ją pod sąd artystów.

Uwijać się będzie u nas kanarek między wróblami, panna Tomuszewicz, pierwsza polska lekarka wykształcona w Zurichu, między synami Eskulapa, którzy ją dziobać już zaczęli. Warszawskie Towarzystwo Lekarskie bowiem, mimo (jak słyszeliśmy) uznania dla prac kandydatki, nie przyjęło jej do grona swych członków. Jest to wszakże drobny zawód — nawet dla pierwszej lekarki. Ważniejszymi jako przesz-

koda są obowiązujące u nas przepisy, które z jednej strony odmawiają praktyki dyplomom zagranicznym a z drugiej wyłączają kobiety od ubiegania się o krajowe.

Jak donosiliśmy niedawno w *Kronice*, zdolny galicyjski satyryk i tłumacz Bérengera, M. Radoć wydał aż w Brukselli Zeszyt V. swych przez krakowskie rządy i opinię potępionych *Piosenek i Gawęd humorystycznych*. Że p. Radoć umie dzwonić Krakowianom w właściwy dzwonek, niech za dowód posłuży jego *Egzamin z Zeszytu IV*.

Chłopcze! naprzód i odwagi!
 Powiedz gdzie są jakie plagi?
 — W stodołach i spichrzach — szczyry,
 Na drogach i mostach — dziury,
 W świątyni — brudne kazanie,
 W Krakowie — ultramontanizm.
 Dobrze. Powiedz mi mój mały,
 Co dla kogo losy dały?
 — Polskie karczmy — dla żydostwa,
 Niedołęztwo — dla lotrostwa,
 Głupie żaby — dla bocianów,
 Kraków — dla ultramontanów.
 Dobrze. Powiedz mi mój miły,
 W czym to losy pobłądziły?
 — Dały mi try — mnóstwo osłom,
 Języki — niektórym posłom,
 Urzędy — wielu balwanom,
 A Kraków — ultramontanom.
 Bardzo dobrze. Teraz, czy ty
 Znasz, co to są pasożyty?
 — Znam sporo złotych mundurów,
 Niemato mniszych kapturów,

Na jarmarkach — szarlatanów,
 W Krakowie — ultramontanów.
 Wybornie. A teraz bratku
 Powiedz co w piątym przypadku.
 — O! wy narodowe zbiegi!
 O! czarne sumienia szpiegi!
 O! wy Boże pokaramie!
 Krakowscy ultramontanie!
 Dobrze. Powiedz jeszcze dziecię,
 Czem miasta słyną na świecie?
 — Berlin — zrabowanym złotem,
 Dzielną Lwów — klasycznym błotem,
 Neapol — rozbójnikami,
 Kraków — ultramontanami.
 Dobrze. Wreszcie, mój kochany,
 Powiedz, w czym kto zakochany?
 — Zarozumiałość — w głupocie,
 Istoty bezrogie — w błocie,
 Nasze hrabiny — w sutanach,
 Nasz Kraków — w ultramontanach.

„Francuzka idzie za mąż ze względów (?) — powiada jedno z pism naszych, w którym nawet *szep* odznacza się łagodnością trznadla — angielfka ze zwyczaju, polka z miłości (!). Francuzka kocha tylko przez przeciąg miodowych miesięcy, angielfka całe życie (ze zwyczaju!), polka na wieki! (t. j. do końca świata i po końcu świata). Francuzka prowadzi córkę na bal, angielfka do parku, polka do pamiątek! (w Saskim Ogrodzie). W francuzce przeważa spryt, w angielfce rozum, w polce uczucie! Francuzka papla, angielfka mówi, polka rozmawia (*o Biesiadzie*). Francuzka daje ci ogni-

salonowca i postępowego rzecznika z wdzięcznie rozszonym dyademem na głowie.

Częścią pod wpływem dociekań i reformatorskich wichrów, częścią niezależnie od nich — między 1760 a 1783 trzy ważne w historii spełniają się fakty: 1) kasacya zakonu jezuitów w r. 1773, poprzedzona sromotnym ich wypędzeniem w ciągu siódmego dziesięciolecia z Portugalii, Francji, Hiszpanii, Neapolu i Parmy; 2) walka Zjednoczonych Stanów Ameryki północnej o niepodległość, ogłoszoną w 76, a uznaną przez naród angielski w 83; 3) dokonany między 72 a 76 r. pierwszy rozbiór Polski. W związku z ostatnim wypadkiem są przewagi wojenne cesarzowej Katarzyny nad Turcyą, zniesienie Siczy Zaporoskiej w 75 i chaństwa krymskiego w 83 r. Na dalszym planie zarysowują się: płodne w skutki spózwadnictwo Prus i Austrii, oraz finansowe kłopoty rządu francuzkiego, skojarzone z całym szeregiem starć, między tronem a narodem, w przededniu wielkiego wybuchu. Ale nie przekraczajmy ram i przejdźmy na grunt ojczyzny. (D. c. n.)

MIKOŁAJ NIEKRASÓW.

Rok bieżący rozpoczął życie swoje kopaniem grobów. Za ledwie kilka tygodni liczy, a już gęsto rozsiadł wszędzie mogiły. Co dzień prawie zgaśnie na niebie jakiegoś europejskiego narodu pierwszorzędną gwiazdą. W wigilię dnia, w którym my straciliśmy pamiętnego męża stanu, Rossya straciła największego ze swych żyjących poetów — Mikołaja Niekrasowa. Nietylko miejscowe znaczenie, ale nado natura jego talentu i działalności zwywa i nas do pożegnania zmarłego pośmiertnym wspomnieniem.

Niekrasow urodził się 4 Grudnia 1821 r. w jednym z miasteczek Kamieniec-Podolskiej guberni, gdzie służył w pułku ojciec jego, żonaty z Polką Aleksandrą Zakrzewską, órką zamożnych rodziców, posiadających obszerne dobra w gub. Chersońskiej. Z trzynastorga dzieci złożona rodzina i liczne majątkowe procesy stawały często ojca Niekrasowa, który w stopniu majora opuścił służbę, w bardzo kłopotliwym położeniu. Oddany w r. 1832 do jarosławskiego gimnazjum Mikołaj przepędzał wszystkie wolne

od zajęć szkolnych dni u rodziców na wsi, gdzie mu się nastroczały sposobności dokładnego poznania stosunków ludu, co później w znacznym stopniu zdecydowało charakter jego utworów. Tu poczuł on pierwszodrgnie nia współczucia, z którego dla kiedyś zebrać się miało w jego sercu niewyczerpane źródło gorących natchnień i poetycznego rzecznictwa w sprawie ludowej biedy. Z rozkazu ojca, który po za wojenną karierą innej dla syna nie widział, musiał Mikołaj przerwać na piątej klasie edukacyę gimnazyalną i udać się do Petersburga dla wstąpienia do szlacheckiego pułku. W chwili, gdy przyszłość młodego Niekrasowa już prawie była urzędownie rozstrzygnięta, spotkał on przypadkiem w Petersburgu swego kolegę Głuszycyckiego, studenta uniwersytetu, i poznał profesora duchownego gimnazjum Uspieńskiego, z którymi rozmowy odciały go od zawodu wojskowego i pchnęły do studyów uniwersyteckich. Ojciec, dowiedziawszy się o tem, zerwał stosunki z synem, który wskutek tego musiał rzucić się w przyszłość o własnej sile. Przyjaciele przygotowali go do egzaminu, którego jednakże z nauk przyrodniczych wytrzymać nie mógł. Mimo to, po różnych trudnościach, dzięki poparciu rektora Pletniewa, Niekrasow dostał się do uniwersytetu, na którym przebył od 1838 do 1841 r. Pozbawiony środków do życia, podtrzymywał je z wysiłkiem lekcjami, korekturą i literackimi próbami, które wierszykiem *Mysł* rozpoczął jeszcze przed wstąpieniem do uniwersytetu. W instytucji tej miał on sposobność wejść w koło arystokratycznej młodzieży i poznać jej naturę. „Biedny student — powiada jeden z jego biografów — z budżetem prawie kilku kopiejek na dzień, łatwo zbliżył się do synów wyższych i bogatszych klas, a nietylko zbliżył się, lecz, dzięki swoim osobistym talentom, zdolnościom i wesołemu charakterowi, nawet mógł im przewodniczyć. Na studenckich bowiem zebraniach i zabawach, urządzanych wówczas na wzór niemieckich knajp i kommersów, przewodniczył nie ten, kto był od innych zamożniejszy, lecz kto lepiej bił się na rapiry, był odważniejszy i fizycznie zręczniejszy. W takich to wesołych i swawolnych towarzystwach obudził się prowincjonalny, wychowany na wsi młodzieniec i tu poznał on naprzd zbytkowne życie i obyczaje tych warstw społecznych, które bez uniwersyteckiego życia znałby tylko ze słyszenia”. Był

to drugi kierunek życiowych studyów poety, który z nich zrobił później doniosły użytek.

Stosunki z paniczami oddziaływały na jego umysł, ale nie na kieszeń. W towarzystwie bogatej młodzieży Niekrasow pozostał biednym, tak biednym, że musiał rozstać się z uniwersytetem i wystąpić w literaturze. Tam trzeba było złożyć egzamina, do których brakło środków, tu można było uzyskać bez przygotowania sławę, która w dodatku zapewniała skromne honorarya, ale honorarya. Już dawniej pomieszczał Niekrasow w rozmaitych pismach drobne swoje utwory. W r. 1840 wydał pierwszy ich zbiorek p. t. *Mieczty i Zwuki*. Przyszły przyjaciel autora, znakomity krytyk Bieliński odezwał się o nich surowo, inni pobłażliwie. Po opuszczeniu uniwersytetu w r. 1841 otrzymał Niekrasow, razem z Panajewem, prawo wydawania *Sowremiennika*, założonego w 1836 r. przez Puszkina. Pasując się z materyalnym niedostatkiem, próbował wszystkich rodzajów autorstwa i wydawnictwa. Najzyskowniejszym podobno rezultatem jego działalności w tym okresie były liczne pozawiazywane stosunki, które go wprowadziły na szersze pole odznaczenia się. W r. 1866 przestał redagować *Sowremiennika*, a od r. 1868 do lat ostatnich główne swoje siły poświęcił *Otieczestwiennym Zapiskom*. W r. 1874 wyszedł zbiór jego dzieł w trzech tomach, dopełnionych potem *Poslednimi piesniami*.

Wszyscy krytycy zgadzają się, że Niekrasow był w poezyi bardziej socyalnym reformatorem niż artystą. Mimo całej żywości i obrazowości słowa, mimo niezaprzeczenie poetycznej natury, dbał on przede wszystkim o praktyczną stronę swych utworów, o leczenie bolesnych ran społecznych, o rozwiązywanie życiowych zagadnień. Charakter ten zaszkodził artystycznemu przymiotom jego poezyi i zarazem zyskał mu wyjątkową w narodzie popularność. Pieśni jego jak błyskawica rozlatywały się po wszystkich warstwach: śpiewali je prości żołnierze w koszarach i ukształcone damy w salonach. Tego poeta pragnął. „Ach — powiada on — dosyć mamy kupców, kadetów, mieszczan, urzędników, szlachciców, nawet dosyć poetów, lecz brak, brak nam obywateli! Gdzież oni? Kto nie senator, nie pisarz, nie bohater, nie przywódca, nie plantator, kto obywatel ojczyznoego kraju?”

Wystąpienie Niekrasowa przypadło na

stą różę, angiela zimną georginię, polka skromną niezapominajkę (och!). Francuzka zaleca się językiem, angiela głową, polka sercem”. Innemi słowy: gdy francuzki dziennikarz mówi o swych kobietach, widać, że je wielbi, gdy angielski — widać, że je szanuje, gdy polski — widać, że je do prenumeraty zaprasza. Grzeczność pierwszego dla nich jest namiętnie miłosną, drugiego — poważnie serdeczną, trzeciego — słodko sklepową.

Echo, chcąc raz przynajmniej urozmaicić czytelnikom swoje jednostajne ze wszystkiego zadowolenie, buchnęło raz głębokiem oburzeniem. I na kogo? Na „tragarzów i innego rodzaju próżniaków”, na „pijaną tłuszcę”, na „ohydny wieniec do koła statui Kopernika”, ubliżający naturalnie obecności wielkiego astronoma. Ponieważ owa „tłuszcza”, jest „stkiem pijaków i rzezimieszaków”, więc *Echo* radzi policji ją „wymieść” z placu Kopernika. Nie będziemy się wdawać w przypuszczenia, coby redakcyi *Echa* odpowiedzieli na tę „radę” tragarze i policya w Londynie lub w jakimkolwiek europejskim mieście, gdzie pismaczkom na swobodę stawania przy pomnikach targać się nie wolno; zrobimy tylko uwagę odnośnie stosunków warszawskich, że jakkolwiek *Echo* dostatecznie już nalizało się pańskich

stopek, nie zyskało jeszcze prawa publicznego lżenia „tłuszczy”, wśród której około posągu Kopernika równie znaleźć się mogą „rzezimieszki”, jak znaleźliby się około statui promieniejącego połową cnot teologicznych redaktora *Echa*, gdybyśmy ją mu gdziekolwiek wystawili. Tyle za złodziejstwa są odpowiedzialni tragarze, ile Kopernik lub modlący się w kościele, wśród których zwinna ręka oczyszcza cudze kieszenie. Jeżeli więc policya warszawska radę *Echa* przyjęła, musiałaby rozpocząć od „wymiatania” tych zgromadzeń, w których najwięcej kradzieży się dokonywa. Wypadałoby wtedy, że nawet za trumną „radę” nie mógłby pójść z wiencami tłum wdzięcznego ludu, który już dziś bardzo się licznie zebrać zamierza. Co zaś do „Karasia”, w którym „tłuszcza” ma się spijać, należy przypomnieć, że pomiędzy szynkiem na placu Kopernika a szynkiem na placu Teatralnym zachodzi tylko różnica w stopniu urzędzenia i wartości napojów, ale nie „moralności publicznej”, która w obu tych instytucjach jednaką „korzyść” odnosi. A nawet więcej szkody wyrządza ten szynk, w którym pijacy tracą setki rubli, niż ten, w którym tracą dziesiątki groszy. Niech więc — naturalnie zawsze trzeźwa — redakcyo *Echa* zwróci się z policją wprzd do „śmietanki towarzysztwa”, niż do „tłuszczy”.

Mimo wszystkich naszych wyjątkowych cnot, niespotykanych między narodami, „zgnitego Zachodu”, nie możemy zdobyć się nawet na to bohaterstwo, aby nie kraść węgla, przywożonych koleją z kopalni do Warszawy. Pisma dzienne wykazały, że kradzież ta odbywa się systematycznie i że często ilościowa różnica między wysłanemi i odebranemi węglami dochodzi kilku korcy na jednym wagonie. Podobno ktoś z poszkodowanych, zamiast krzyknąć: *Quousque tandem abutere*, wniósł skargę do sądu. Ponieważ co jego spotkało dziś, nas może spotkać jutro, życzymy więc sobie, ażeby takie krzywdy zyskały raz dla kolei przymus oddawania tego i tyle, co i ile przyjęła. Inaczej bowiem, padając ciągle ofiarą bezkarnych kradzieży, nie będziemy mieli innej satysfakcyi i pociechy, jak tylko wiarę w naszą uczciwość i uraganie się ze „zgnitego Zachodu”.

Nareszcie coś pewnego możemy powiedzieć o zamaskowanym dotąd *Keve Slave*. Ma to być pismo, obznajmiające zagranicę z umysłowym i artystycznym ruchem całej Słowiańszczyzny. W tym programie mieszczą się wszystkie kierunki tego ruchu, z wyjątkiem polityki. Wyłączenie to jest o tyle słusznem, że życie polityczne w obecnych

epokę, w której gorętsze słowo rzadko się rozlegało i w której tętniły prądy wielkich przemian. „W takich czasach—słusznie powiada jeden z rosyjskich krytyków — spokojna twórczość jest prawie niemożliwa. Czem żywszy temperament poety, czem donioślejsze przeżyte wypadki, tembardziej pozwala on się unosić kolejnym i upajającym zagadnieniom chwili; dla niego na pierwszym planie nie troska o artystyczne piękności i obrobienie, lecz to, żeby jak najprędzej odwiercić chwilę, żeby odpowiedzieć na pytanie bieżącej rzeczywistości. Niekrasow nie był wielkim poetą i dlatego nie można go porównywać z Puszkimem i Lermontowem, którzy żyli w okresie zupełnie różnym od tego, na jaki przypada główna pora działalności Niekrasowa... Jego zadanie na tem polegało, ażeby, odrzućwszy fałszywe zasady społeczne, zbudzić w umysłach zdrowe dążenia, ażeby utrwalić w życiu i literaturze idee swobodnej i niepodległej osobowości, wolne uczucie, pojęcie ludzkiej godności. Ten moralno-obywatelski żywioł znalazł w Niekrasowie najdzielniejszego przedstawiciela”.

Najdłużej, bo aż do ostatniego tchnienia opiewaną i oplakiwaną kochanką poety była jego matka. Jej—jak sam wyznaje—zawdzięcza on najdobroczynniejszy wpływ na swoje życie, jej, umierając, składał jeszcze najrzewniejsze kwiaty swej muzy, ona wręcz nauczyla go szanować i błogosławić naród, któremu taką matkę zawdzięczał.

Osady polskie w Stanach Zjednoczonych.

przez
LITWOSA.

(Ciąg dalszy.)

Co do dwóch nowo założonych kolonii: Waren-Hoino w Arkanzas i Nowego Poznania w Nebrasce, zdołały już one zgromadzić po kilkudziesięciu rodzin, przyszłość ich jednak arcy jeszcze nie pewna. Rzecz była taka. W ostatnich czasach między Polakami, zamieszkałymi w Chicago, pojawiła się dążność do zamieniania życia wyrobniczego w wieście na plug i siekiere pionierską. Czy dążność ta sama przez się pojawiła się w niższych warstwach tamtejszych, czy została

im podsunęta przez redakcyę pism: *Gazety polskiej katolickiej*, i *Gazety polskiej Chicagowskiej* Dyniewicza, nie umiem tego objaśnić. Bądź co bądź, sama w sobie była pożyteczną. W miastach amerykańskich, a zwłaszcza w miastach silnie zaludnionych, robotnicy, jeżeli „business” idzie dobrze, mają dość znaczne zarobki i wogóle żyją lepiej i dostatniej niż w Europie. Ale zdarza się często, że, bądź to z powodu przyczyn miejscowych, bądź z powodów politycznych — wyborów, bezroboci, zaburzeń etc, pojawia się chwilowy zastój w interesach. Wówczas w wieście bardzo ludnym większa część robotników traci robotę i zostaje bez kawałka chleba. Życie więc wyrobnicze zawsze jest niepewne, rzadko sprzyjające zebraniu jakiego takiego grosza. Tymczasem osadnik rolniczy w Ameryce, zajmujący ziemię rządową na prawach klemowych z wypłatą na lat dziesięć po dolarze i pół od akra (morg) lub nabywszy takową również na częściową spłatę od kolei żelaznej, przy pracy i wytrwałości, dochodzi niezawodnie do posiadania własności i spokojnego kawałka chleba. Inaczej nie może być. Początkowo osadnicy prowadzą życie nad wszelki wyraz ciężkie. Trzeba mieszkać w ladajako skłeczonych domach, karczować lasy, opędzać się febrze w niezdrowych okolicach, wężom, mustykom i tam dalej. Kwitnący jednak stan wielu osad niemieckich, szwedzkich, duńskich, dowodzi, że praca i trudy oplacają się w końcu. Przytem, jak dla wszystkich narodowości, tak i dla Polaków owo łączenie się i zakładanie osad miało jeszcze i inne znaczenie. Pracując z osobna po rękodzielnianach lub warsztatach rzemieślniczych, ocierając się ciągle o żywioły obce, niepodobna nie wynarodowić się zwolna; tymczasem na osadach, gdzie ludność jednolita siada masą, podobne niebezpieczeństwo mniej grozi. Ze swojej strony rząd Stanów i Amerykanie wogóle nietylko nie objawiają najmniejszej dążności do wynaradawiania kogokolwiek, ale przeciwnie: zapewniają wszystkim wszelkie prawa, żądane i nieżądane. Jest to po prostu zarówno praktyczna jak i rozumna polityka; rząd washingtonski bowiem pojmuje doskonale tę prawdę, że Niemcy, Francuzi, Włosi i t. d. nie przestając być sobą, będą jednak wybornymi obywatelami amerykańskimi, jeśli im w Ameryce będzie dobrze. Zachowają oni wprawdzie przez długi czas swój język, ale ponie-

waż narodowości i języków jest mnóstwo — wszystkie więc razem muszą przyjąć, chcąc nie chcąc, język angielski, jako wspólny handlowy, urzędowy i społeczny. Jak więc powiadam, zakładanie osad nie spotyka tu z żadnymi stron trudnościami; potrzeba tylko człowieka, któryby się sprawą zajął, grunta odpowiednie odszukał, nabył i podzielił. Podobny przywódca znalazł się w Chicago w osobie niejakiego p. Choińskiego; ten zakupił grunta w Arkanzas, nazwał mającą się założyć kolonię, niezbyt zresztą szczęśliwie, Waren-Hoino, i odmalowując ją w barwach istotnie może przesadzonych, zdołał zgromadzić, prócz stu kilkudziesięciu rodzin, które z góry się zapisały, wielu nowych jeszcze kandydatów. Popierała całe to przedsięwzięcie bardzo usilnie *Gazeta polska Chicagowska* Dyniewicza, rywalizująca i prowadząca z *Polsko-Katolicką* bardzo zaciętą, a po prostu powiedziawszy, bardzo haniebną dla obu stron wojnę. W tem miejscu, jakkolwiek o wydawnictwach powiem później obszernie, wypada mi poświęcić kilka słów ogólnemu ich charakterowi. Obie te gazety stoją na gruncie religijno-katolickim. Pierwsza z nich *Polsko-Katolicka* redagowana jest przez księży, musi więc być taką, jak jest; druga Dyniewiczowska byłaby może inną, gdyby wydawcy nie chodziło o niezrażanie sobie włościan i robotników, z włościan złożonych. I Dyniewicz więc grywa na religijnym organie, z towarzyszeniem jednak pewnej liberalnej nuty. Zarzuca on przeciwnikom poświęcanie interesów ogólnych ultramontanizmowi, obalamucanie ludu, przeżywa ich „Zmartwychwstańcami” lub „szajką Zmartwychwstańców”, zdrajcami i tym podobnie. Oczywiście Barzyńscy (wydawcy *Polsko-Katolickiej*) oddają mu pięknem za nadobne, w całej zaś sprawie po obu stronach większą zdaje się grać rolę ambicja, chęć wyniesienia się, ściągnięcia abonentów, a zatem i zysków, niż zamiłowanie dobra ogólnego. Okazało się to przy sprawie kolonii. Gdy gazeta Dyniewicza zaczęła popierać Choińskiego i stawać się organem sprawy istotnie ważnej, w której nie szło o puste krzyki i deklamacye, ale o coś istotnego — przeciwnicy jej i całego stronnictwa „Dyniewicza — Choińskiego” spostrzegli się, że tamci mogli pociągnąć większą część za sobą i postanowili przeciwdziałać. Z początkowania więc gazety *Polsko-Katolickiej* powstała myśl założenia jedno-

warunkach najbardziej pojedyncze plemiona słowiańskie rozdziela i pogodzeniu ich w jednym organie silnieby przeszkadzało. Zadowolonym redaktorem jest p. A. de Fontaine, nauczyciel gimnazjalny, zdecydowanego wszakże nakładcy dotąd podobno nie ma.

Literaturze broszur dla ludu przybyła książeczka Jana Mrówki, p. t. *Odpowiedź ciękawemu Kubie czem dzisiejszy wieśniak być może i powinien*. Autor stara się uświadomić swym czytelnikom ich prawa i obowiązki, wykazuje przytem, w jakich kierunkach korzyści obecnego położenia zużytkować winni. Nie mamy żadnych objaśnień, o ile takie książeczki są rzeczywiście przez lud czytane, zdaje nam się wszakże, iż forma powieści znalazłaby u niego chętniejsze przyjęcie.

Wiadomo, że *Gazeta Warszawska* lubi czasem prorokować i w jasnowidzeniu przepowiada losy narodów lub mocarstw. Oto pozwólcie, że ja mizerny augur, niemający żadnej pretensyi do dziennikarsko-pytyjskiego namaszczenia, także przepowiem chwilę, w której na szpaltach sędziwego organu wydrukowanym będzie artykuł, który wykaże przyczynę wszelkich niegodziwości i nieszczęść rodzaju ludzkiego. Nie wierzy-

jąc ciągle uwagę na wielkie obowiązki wychowawców dzisiejszych. Rzucanie bezmyślnych oskarżeń z tego powodu na postęp i liberalizm dowodzi tylko, jak pewne ciasne umysły, spazzone nienawiścią ku swobodzie myśli, starają się z każdej sposobności skorzystać, aby ją obrzucić potwarzą.

Dużo się u nas rozprawia o tem, iż kraj nasz jest rolniczy, tylko mało się jakoś krzątamy koło tego, co gdzieindziej czyni się dla dobra rolników i rolnictwa, a zatem i dla bogactwa krajowego. Weźmy np. kwestyę zbiorów; chwila rozpoczęcia żniwa jest częstokroć decydującą o losie całorocznej krescencyi a nawet i o losie całego gospodarstwa. Wprawdzie rolnicy nasi starego fasonu trzymają się w tym względzie starych Rodzynowskich kalendarzy z przepowiednią pogody — lecz z jakim skutkiem, łatwo osądzić w praktyce. Tymczasem kwestya pogody lub słoty — a raczej wnioskania o stanie powietrza na kilka dni naprzód, inaczej się przedstawia w nowożytnej nauce, a nawet Ameryka, Anglia, Francya i Belgia praktycznie korzystają z usług, jakie nauka meteorologii przy pomocy telegrafów oddaje. Tam na całej przestrzeni kraju rozrzucone są stacye, które przesyłają do centralnego biura wiadomości, dotyczące stanu atmosfery; na zasadzie tych wia-

cie sceptycy, a jednak pewny jestem najzupełniej, że kiedyś prawowitny pracownik frontu gazety wydrukuje, że wszelkim występkiem, morderstwem, podpalaniem, gwałtom, zbrodniom, cholera, tyfusom, febram, wszelkim ułomnościami fizycznym i umysłowym, tak zwyczajnych śmiertelników jak i niektórych literackich pachołków prawomyślności, winien jest... postęp i materializm nowoczesny, winni są ci przekleści politycy, wolteryanci, te wszystkie liberały i komunały. Z czyjej tu bowiem przyczyny niedawno rzezimieszki hulali po Warszawie jak w raj? z czyjej przyczyny dzieje się tyle występków przeciw moralności i samobójstw? Do znakomitszych spostrzeżeń, które w tym kierunku rozwijał niedawno *Kaliszanin*, pewien podróżnik, mający dziwny talent opisywania niewidzianych przez siebie krajów, przyłączył się właśnie ów mędrzec z gazety, zwałając na winę postępowej przewrotności smutny fakt samobójstwa jednego z uczniów gimnazjalnych w Piotrkowie. Rzecz dziwna w istocie, że wypadki podobne w ostatnich czasach zdarzają się nadto często pomiędzy uczącą się młodzieżą. Są to fakta smutne, nad które mi srodze bolejemy, których przyczyny powinniśmy starać się usunąć wszelkimi siłami, popierając obywatelsko działanie życia domowego na młodzież, zwraca-

jąc ciągle uwagę na wielkie obowiązki wychowawców dzisiejszych. Rzucanie bezmyślnych oskarżeń z tego powodu na postęp i liberalizm dowodzi tylko, jak pewne ciasne umysły, spazzone nienawiścią ku swobodzie myśli, starają się z każdej sposobności skorzystać, aby ją obrzucić potwarzą.

Dużo się u nas rozprawia o tem, iż kraj nasz jest rolniczy, tylko mało się jakoś krzątamy koło tego, co gdzieindziej czyni się dla dobra rolników i rolnictwa, a zatem i dla bogactwa krajowego. Weźmy np. kwestyę zbiorów; chwila rozpoczęcia żniwa jest częstokroć decydującą o losie całorocznej krescencyi a nawet i o losie całego gospodarstwa. Wprawdzie rolnicy nasi starego fasonu trzymają się w tym względzie starych Rodzynowskich kalendarzy z przepowiednią pogody — lecz z jakim skutkiem, łatwo osądzić w praktyce. Tymczasem kwestya pogody lub słoty — a raczej wnioskania o stanie powietrza na kilka dni naprzód, inaczej się przedstawia w nowożytnej nauce, a nawet Ameryka, Anglia, Francya i Belgia praktycznie korzystają z usług, jakie nauka meteorologii przy pomocy telegrafów oddaje. Tam na całej przestrzeni kraju rozrzucone są stacye, które przesyłają do centralnego biura wiadomości, dotyczące stanu atmosfery; na zasadzie tych wia-

czesnie drugiej osady polskiej w Nebrasce pod nazwiskiem Nowy Poznań. Ponieważ kandydatów nie brakło, zakupiono wkrótce grunta i Nowy Poznań przeszedł także dziedzinę zamysłów w dziedzinę rzeczywistości. Obie gazety poczęły teraz wysławiać, każda swoją osadę, nie znajdując słów na potępienie przeciwnej. Nowemu Poznaniowi zarzucano, że położony jest w stepach, z których rzeczywistość składa się cała Nebraska, w krainie bezdrzewnej, gdzie nie będzie z czego pobudować domów, a nakoniec w okolicach, pustoszonech od czasu do czasu przez szarańczę. Barzyński odpowiadał natomiast, że grunta w Arkanzas pokryte są dębami, których karozunek tak długo może się pociągnąć, iż osadnicy z głodu pierwej poumierają; dalej mówiono, że okolica zakupiona ma płytką tylko warstwę czarnoziem, pod którą znajduje się nieurodzajny żwir — a nakoniec, iż okolica cała rok rocznie zatapiana bywa przez wody rzeki Arkanzas, z czego powstają zabójcze febry i inne choroby, dziesiątkujące ludność. Obie strony wysyłały komisye, mające sprawdzić istotny stan rzeczy, ale komisye te, składając się z ludzi należących do stronnictw, a zatem stronnych, powtarzały za i przeciw — wedle widoków stronnictw — a prawda zginęła ostatecznie pośród tego zamętu.

Wobec takiego stanu rzeczy, z największymi tylko zastrzeżeniami można wydać sąd w tej sprawie. Faktem jest jednak, że Waren-Hoino zrobiło ostatecznie pewne „fiasco”. Arkanzas słynie wprawdzie z urodzajności ziemi, obfitość lasów jest jedną dodatnią stroną więcej dla wszelkiej kolonii; — nakoniec o klimacie Arkanzasu nie słyszałem, aby miał być niezadowolony, jak np. w Teksas. Ale być może, że kupno było prowadzone lekkomyślnie, ziemia wybrana nieopatrznie, działki przeprowadzane z uwzględnieniem różnych cząstkowych widoków, wreszcie zarząd funduszami naganny; większa część osadników, którzy się już byli do Waren-Hoina wybrali, powróciła ztamtąd bardzo spieszenie, podnosząc w niebogłosy krzyk, że została omamiona najhaniebniej. Niektórzy, wydawszy wszystkie pieniądze na drogę, a nie chcąc osiąść w osadzie, znaleźli się istotnie w bardzo przykrem położeniu. Gazeta Barzyńskich zatrzymowała. Nazwano wyprawę do Hoina „wyprawą na Sybir”. Wezwano Choińskie-

go i Dyniewicza, aby złożyli rachunki z powierzonych im funduszy, czego istotnie dotąd nie uczynili — krótko mówiąc, pokazuje się ze wszystkiego, że Dyniewiczowi i Choińskiemu wiele jest w całej sprawie do zarzucenia, czego dowodem jeszcze i to, że ich gazeta, powoławszy się na Platona, czy na innego mędrca, polecającego „głupim” nie odpowiadać — zamilkła i ostatecznie o sprawie Waren-Hoina więcej się nie odzywa. To przerwanie gorszącej polemiki bardzo byłoby pożądanem, ale zauważyć należy, że co innego jest prowadzić polemikę o nic i obrzucać się obelgami, a co innego przedstawić dowody, jeśli takowe są, że się funduszy powierzonych sobie nie zmarnowało i całą sprawę, na której istotnie ludziom zależy, przedstawić uocziwie i sumiennie. Nie znając Dyniewicza ani Choińskiego osobiście, ale tylko z odgłosów nader przeciwnych, nie pozwalam sobie przypuszczać, aby prowadzili ludzi „na zgubę” w widokach osobistego zysku. Ale z całego toku sprawy i z tego, jak sami siebie w swoich orędziach przedstawiali, wnioskuję, że są to ludzie ambitni, — rodzaj demagogów, niebardzo przebiegających w środkach, które mogą posłużyć im do wyniesienia się i zagarnięcia przywództwa. Zgubić swoich osadników zapewne nie chcieli, ponieważ byłoby to wprost przeciwne i dobru Choińskiego, który osobiście ma mieszkać w swoim Waren-Hoinie i Dyniewicza, jako redaktora gazety. Być może jednak, że zaślepieni nienawiścią do przeciwnego stronnictwa i ambycją zapędzili się zbyt daleko, robili rzeczy zbyt pospiesznie i... przez to całą sprawę zachwiali.

Obecnie w Waren-Hoinie pozostał podobno ten tylko, kto wydawszy pieniądze na drogę, nie miał za co powrócić. Być jednak może, że ci, co zostali, dojdą z czasem do kawałka chleba. Kto zna nasz łatwo zrażający się trudnościami charakter i łatwość z jaką niczem nieusprawiedliwione nadzieje zmieniają się w zupełne zniechęcenie, ten przypuści zapewne, że te wady wzięły także niemały udział w owym pospiechu, z jakim osadnicy Waren-Hoina opuścili.

Bądź co bądź, sprawa ta nie przynosi zaszczytu Dyniewiczowi i Choińskiemu, ale nie przynosi go także ich przeciwnikom. Jakkolwiek z Nowego Poznania nie dochodzą tak alarmujące wieści, jak z Waren-Hoina, jakkolwiek rzeczy te mogły być ro-

bione ostrożniej, jednakże, biorąc na ogół, żyzny, ciepły i lesisty Arkanzas posiada więcej warunków, zapewniających rozwój wszelkiej kolonizacji, niż stepowa, zimna i bezdrzewna Nebraska. Ale, cóż robić! gdy przedewszystkiem każdej gazecie chodziło o to, by miała swoją kolonię. Sprawa ogólna poszła wobec tej prywatnej w poniewierkę. Gdyby zamiast przeszkadzać sobie wzajemnie, wzięto się wspólnymi siłami do dzieła, rzeczy ułożyłyby się z pewnością inaczej. Przedewszystkiem, im więcej osadników by się zebrało, tem osada byłaby żywotniejszą, potężniejszą i bezpieczniejszą. Dalej, im większe kupionoby obszary gruntu, temby je można nabyć taniej. Byłoby możliwym założenie szkół, rozmaitych instytucyj pomocniczych, i t. d. ale wszystko to wymagało zgody, a zgoda między ludźmi, patrzącymi nawet na kupno kawałka gruntu ze stanowiska religijnego — jest rzeczą prosto niemożliwą.

Stoją więc, a raczej vegetują: Waren-Hoino i Nowy Poznań. Na nich kończą się moje wiadomości, tyczące się osad polskich rozproszonych w Ameryce; wyliczanie ich wydało się czytającym może zbyt suche, dla tego przechodzę teraz do uwag ogólniejszej natury. (D. c. n.)

PIUS IX I PRZYSZŁY PAPIEŻ.

Ruggera Bonghi.

III.

Cały ceremonial zachowania się po śmierci papieża jest już od dawna ustalony. Biskup Piotr Aurelii, penitencjaryusz Grzegorza XV, napisał przy końcu XV wieku osobną o tem książkę. A jednakże nie ma koronowanej głowy, któraby jeszcze przed ostatnim tchnieniem częściej przez swoją służbę opuszczaną była i którejby zwłoki z większym trudem chowano. Dotyczy to szczególnie Aleksandra VI. Ledwie umarł, służący i żołnierze zaczęli plądrować pokoje, a gdy go przeniesiono do kościoła, nie było ani jednego księdza, któryby przy trumnie modlitwy odmawiał. Nad wieczorem tragarze i starlarze wnieśli ciało do pogrzebowej kaplicy, ale ponieważ trumna była za krótka, więc je w niej póty nogami ude-

domości układane są prawdopodobnie na dzień następny wnioski i przesyłane telegrafem do wszystkich stacyj. Tym sposobem rolnicy na podstawie nauki mają wskazówki o prawdopodobnej na dzień następny pogodzie. Niemcy dotychczas w tym ruchu nie brały udziału, lecz na ostatnim zjeździe przyrodników w Monachium wiele się tą sprawą zajmowano i nareszcie postanowiono z Hamburga odpowiednie telegramy rozsyłać. Ponieważ klimatyczne u nas zmiany stoją w bezpośrednim stosunku z klimatem niemieckim, czyżby już nie czas było na okres żniw wprowadzić stacye rolnicze i, skombinowawszy się z Hamburgiem oraz z obserwatorium Warszawskiem, korzystać z telegramów meteorologicznych. Wprawdzie pociąga to za sobą koszta, ale w stosunku do strat, jakie przynosi niespodziewana burza, wcześniejsze lub późniejsze rozpoczęcie robót w polu — koszta te są niczem. Zresztą ufundowanie prywatnych w każdej okolicy stacyj meteorologiczno-rolniczych o wiele by wydatki zmniejszyło.

Gwiazda wędrowna, która miała tylko chwileczkę zajaśnieć na horyzoncie naszego lirycznego dramatu, przeciąga jakoś swą wizytę z zadowoleniem publiczności, a więc i kasy teatralnej. Niektórzy pesymisci, znający grymasy i zachoianki tej fantastycznej

jejmości, która się zowie publiką teatralną, dziwią się wielce, że nie tak znowu świetne promienie talentu artystki mogą ku sobie wabić tak ponętne melomanów warszawskich, którzy są jednak dość wybredni w wielu razach. Przyczyną tego jednak jest pewien przymiot artystki, który może nieco trywialnie nazwiemy *szykiem*.

Panna Chiomi nie zawsze śpiewa świetnie, nie zawsze zadowolni zwolenników niepokalanie czystej intonacji, w wyższych nutach czasami głos jej zaskrzypi zbyt ostro, ale śpiew jej zawsze płynie elegancko, wytwornie, poparty grą pełną wyrazistości i wdzięku a często nader ujmującej kokieterji.

Najlepiej też dotąd przypadła artystce rola figlarnej damy angielskiej w *Marcie Flo-towa*, w której rozwinęła cały zasób swej gracyi oraz umiejętności artystycznej, doprowadzając nawet niektóre jej ustępy do pierwszorzędnej perfekcyi w wykonaniu, a zwłaszcza ów przepiękny śpiew do róży, wycieniowany prawdziwie po mistrzowsku.

Mniej szczęśliwą była panna Chiomi jako Adelina w arcy-melodyjnej, choć na dzisiaj dość ckliwej operze Belliniego *Lunatyčka*, gdyż tutaj potrzeba było szerokiej i jasnej melodyjności, śpiewu najzupełniej poprawnego, którym taką przyjemność sprawiała nam niedawno pani Jakowicka. Wokalna

strona partyi *Violetty*, w tej banalnie sławnej operze Verdiego, przechodziła cokolwiek siłą fizyczną głosu panny Chiomi, która pozwoliła w niej sobie rozmaitych ułatwień i modyfikacji, ale znowu potrafiła nadać jej niepospolity interes, dzięki znakomicie wykończonemu i realnie pojętej grze, w której odzwierciedliła ze szczęśliwą intuicyą gorączkowe życie smutnej heroiny bezwstydu, zakończone suchotniczą śmiercią z wyczerpania... Każdej postaci swojej panna Chiomi potrafi nadać odrębną, artystycznie obmyślaną i wykonaną indywidualność, która nadaje jej zajęcie i każe zapominać o dość szupłych zasobach wokalnych i niezawsze beznagannym sposobie śpiewania. Po ukończeniu występów tej tytularnej włoskiej artystki, gdyż panna Ch. jest podobno rodem amerykańką, scena nasza w obecnym sezonie otwartą będzie na rozścież dla najrozmaitszych włoskich gości. Włoski tragik który budził tyle entuzjazmu i pobudził całą krytyczną rzeszę naszą do wyprodukowania tyłu filozoficznych studyów, naszpi-kowanych tanią erudycją, znowu ma zagosić na naszej scenie, a potem podobno zawita także przednie grono śpiewaków włoskiej opery w Petersburgu.

ptywali, aż wzięto; poczem, zdarłszy mitrę i papieżkie szaty, okryli trupa jakimś podartym lachmanem. Cóż podobnego zdarzyło się z Innocentym X, którego, gdy nikt, bo nawet faworyta Maldachini ostentacyjnie pogrzebać nie chciała, dopiero jakiś stary i przez zmarłego nielubiony kanonik własnym kosztem pochował.

Zadziwiającym jest fakt, że ludzie, którzy za życia taką władzę posiadają, po śmierci tak mało sympaty budzą. Podłe przed nimi służalstwo zamienia się nagle w zupełną obojętność. Duchowny monarcha, umierając, nie ma naokoło siebie rodziny, do którejby się mógł przyznać; całe zaś otoczenie śpiesznie go opuszcza, ażeby się zbytnią usłużnością dla zmarłego jego następcy nie narazić. Kogo samolubstwo przestaje się lękać lub wyzyskiwać, temu przestaje służyć i co prędzej biegnie ku temu, przed którego gniewem drży i od którego łaskę się spodziewa. Naturalnie dziś zgorzenia zeszłych wieków przy papieżkiej trumnie się nie powtórzą, nie dla tego jednak, ażeby jakiś surowy rygor je uniemożliwił, ale dla tego, że umysłowe i obyczajowe wykształcenie ogólnego rozwoju i do kleru przeniknęło.

Nakreśliśmy obraz tej ważnej chwili według dzisiejszych warunków.

Lekarze, spostrzegłszy zbliżający się zgon papieża, winniawiadomić o tem spowiednika, ażeby go ten przykładnie wszystkimi religijnymi świadectwami na wieczną wędrówkę opatrzył. Papież zwoluje zwykle do swego łoża kardynałów, robi przed nimi wyznanie swej wiary, wręcza testament, oznacza miejsce, w którym ma być pochowany, i drugie, w którym swoje skarby ukrył, prosi o przebaczenie dla siebie i życzliwą pamięć dla swych sług, czasem przemawia za jakimś kandydatem do następstwa, wręcza dając napomnienie i błogosławieństwo. Konając, otrzymuje ostatnie namaszczenie. W pokoju stoją dwie woskowe świece i krucyfiks. Jeden z domowych prałatów trzyma przed oczyma umierającego krzyż i daje mu go ciągle do całowania. Wezwani penitencyariusze śpiewają przepisane pieśni i psalmy pokutne aż do chwili, w której konający ducha wyzionie. Jakże potem nagle wybuchło rozpasanie, wspomnieliśmy wyżej. — Wielu papieżów daremnie próbowało klątwami rabunkowi Lateranu i innym nadużyciom zapobiedz. Inny zwyczaj, również napróżno pokonywany, upoważniał do robienia zakładów o dzień i godzinę śmierci papieża. Tegoczesny ceremoniał wymaga, ażeby ciało papieża wystawione było przez trzy dni w kościele Piotra, w kaplicy najświętszego sakramentu, poczem w obecności zamianowanych przez niego kardynałów, w potrójnej trumnie — z drzewa cypryjskiego, ołowiu i drzewa zwyczajnego, złożone na oznaczone przez nieboszczyka miejscu lub w kościele Piotra. Nabożeństwo ma także swój określony program, który pociąga za sobą wielkie koszty. Pius IV ograniczył je do 10,000 dukatów, Aleksander VIII zredukował je jeszcze bardziej. Samego wosku wychodzi około 18,000 funtów, nadto 470 kann (1=2 łokciom) najlepszej, 237 średniej i 123 gorszej materyi, przecięciowo po 6 skudów (dziś około 2 rs.)

Po śmierci papieża wyżsi dostojnicy kościoła noszą przepisaną w formie żałobę. Dawniej w czasie *interpontificatu* władzę przejmował chwilowo kler rzymski. Później przeszła ona do trzech dygnitarzy: arcyprzezbitera, arcydyakona i prezydenta notaryuszów; potem, gdy kościół coraz bardziej organizował się monarchicznie, do jednego arcydyakona, z ograniczoną władzą i z radą trzech kardynałów. Dawniej przed rozpoczęciem się narad wyborczych niszczone uroczyste pieczęć i inne urzędowe znaki zmarłego papieża. Przed rokiem 1815 ogłaszano jego śmierć za pośrednictwem wielkie-

go dzwonu i głuchego po ulicach bębnienia. Po wyznaczeniu tymczasowego zastępstwa we wszystkich kierunkach papieżkiej władzy, kardynałowie odbywali dziesięć przygotawczych do Conclave zebrań, na których określano jego regulamin i osobisty skład, wyznaczając lekarzów, aptekarza, służbę i t. d. Mimo, że Watykan jest miejscem, zwłaszcza w letniej porze, dla Conclave bardzo niezdrowym, prawdopodobnie będzie areną specjalnego urządzenia tego gmachu. Posiada on dla elekcyi tyle cel, ilu jest kardynałów. Każda składa się z pokoiku, 18 piędzi długiego i 15 szerokiego, w którym stoi łóżko kardynała; druga obok izdebka połączona jest schodkami z passażem, przy którym znajdują się dwie komnatki konklawistów. Cella nie ma drzwi i musi być ciągle otwarta, jeśli wszakże jej mieszkaniec nie chce, ażeby ktoś do niego wszedł, kładzie na krzyż dwa kijki. Każdy kardynał musi ją sobie przygotować za własne pieniądze; od chwili wszakże zamknięcia Conclave utrzymywany jest kosztem apostolskiego skarbu, który ponosi i inne całej uroczystości wydatki. Lokal, na Conclave przeznaczony, zostaje po zgromadzeniu się Kollegium bezwzględnie zamknięty. Okna i wszystkie otwory zamurowane, z wyjątkiem okienek, przepuszczających trochę światła, drzwi zamknięte i strzeżone. W rozmaitych miejscach tych prowizorycznych murów porobione są małe kołowrotki dla podawania kardynałom żywności. Oprócz tego istnieje jeszcze okienko, przez które Kollegium udziela audyencji posłom i ministrom. Stosunki kardynałów ograniczone są jak najściślej przepisanymi. Każdy odwiedza innych w towarzystwie dwu konklawistów i w przepisanej ubraniu. Naturalnie wszystko jest zwrócone do tego, ażeby żadna wieść z wewnątrz Kollegium się nie wymknęła i żadna z zewnątrz się nie przekradła. I dla tego cała służba składa przysięgę, że niczego, co usłyszy lub widzieć będzie, nie zdradzi. Toż samo czynią konklawisci, lekarze, spowiednicy i t. d. Mówić należy cicho, tak, żeby obok stojący nie rozumieli. Wskutek tych i tysiąca innych ścieśnien, których tu szczegółowo podawać nie możemy, kardynałowie jak śledzie w beczce upakowani oczekują natchnienia, mającego im niby wskazać przyszłego papieża.

Właściwy akt wyboru odbywał się dotąd w trojaki sposób: albo przez jednogłośnie aklamację, t. j. nagle, pod wpływem natchnienia okrzyknięcie wybranym jakiegoś kandydata; albo przez dobrowolne porozumienie się, albo przez formalne głosowanie. Najmożliwszym wszakże jest sposób trzeci. Ma on trzy akty: przedscrutinium, scrutinium i poscrutinium. Przedscrutinium rozkłada się w następujących scenach: 1) przygotowywanie wyborczych kartek, 2) wysadzenie skrutatorów i pełnomocników od chorych, 3) wpisanie do kartek kandydatów, 4) składanie kartek i 5) pieczętowanie ich. Każda z tych scen odbywa się według przepisanych ceremonij. Samo scrutinium składa się również z wielu scen: 1) oddanie głosów na ołtarzu elekcyi, 2) złożenie następnej przysięgi: „Przed Chrystusem Panem, który mnie sędzić będzie, świadczę, że wybrałem tego, którego przed Bogiem zgodnie z wiedzą i sumieniem wybrać winienem, jak to niniejszem czynię”, 3) umieszczenie kartek w kielichu, 4) zmieszanie ich i 5) obliczenie głosów i inne drobne operacje, wykonywane przez specjalnie do tego naznaczonych dygnitarzów. Poscrutinium jest właściwie tylko rozliczaniem głosów na każdą głowę i paleniem kartek. Jeżeli okaże się kandydat, który otrzymał ich $\frac{2}{3}$, wybór skończony, w przeciwnym razie następuje balotowanie dopełniające na tych wszakże tylko, którzy już w poprzednim głosy otrzymali. Jeden tylko znak zdradza tajemnice Concla-

ve przed ciekawością ludzi, po za niem niecierpliwie rezultatu wyczekujących. Mianowicie, gdy ani scrutinium, ani wybór uzupełniający do niczego nie doprowadził, z komina Watykanu ukazuje się dym spalonych ze słomą kartek. Jest to sławna „fumata”, która obwieszcza narodowi, że jeszcze nikt papieżem nie został „zrobiony”. Ostrzega ona kanonierów, że huku ich armat jeszcze nie potrzeba.

Przed wybranym kandydatem stają kardynałowie i jeden zapytuje: „Czy przyjmiesz wybór, który cię kanonicznie na papieża wynosi?” Po twierdzącej odpowiedzi baldachiny wszystkich kardynałów składają się i tylko wybranego zostaje otwarty. Dalej zapytują go, jakie sobie imię chce przybrać, potem następuje przywdzianie papieżkich szat. Kardynałowie składają hołd nowo obranemu papieżowi, całując jego pantofel, na co on odpowiada im uścisłkami. W końcu jeden z kardynałów-dyakonów, wśród odgłosu rozwalanych murów i grzmotu dział, obwieszcza z balkonu zgromadzonemu ludowi, kogo mu na papieża wybrano. Od tej chwili rozpoczyna się szereg uroczystości, uświęcających wstąpienie na tron religijnego władcy. Najważniejszą z tych uroczystości jest jego koronacja, podczas której kardynał-dziekan odmawia następującą modlitwę: „Wszechmoony, wieczny Boże, dumo Twoich kapłanów i stwórczo państwa, daj łaską Twojemu, aby rząd jego kościołowi owoce przyniósł, a ten, który przez Twoją dobroć na ojca królów i kierownika wszystkich wiernych wybrany koronuje się, według Twoich zbawiennych zamiarów wszystko ku dobremu prowadził, w imieniu naszego Pana Jezusa Chrystusa”. Przy końcu tej modlitwy jeden z kardynałów-dyakonów zdejmując Jego Świątobliwości z głowy biskupią infułę, a drugi wkłada mu trzema koronami ozdobioną i klejnotami jaśniejącą tiarę, mówiąc uroczystym głosem: „Przyjm tę trzema koronami ozdobioną tiarę, wiedz, żeś ojcem książąt i królów, rządcą całego świata, przedstawicielem naszego Pana Jezusa Chrystusa na ziemi; bądź chlubą i chwałą na wieki wieków”. Wtedy papież, pobłogosławiwszy trzykrotnie naród, oddał się i kończy swój obchód rozmaitemi ceremoniami, w których procesyę wizyt zamykają dostojnicy świeccy.

Tak było, z większymi lub mniejszymi odmianami w szczegółach, dotąd.

Jak niedaleka przyszłość rozwiąże zagadkę papieżstwa, którego obecne warunki, nadzieje i przeszkody przy pomocy Bonghi'ego staraliśmy się rozjaśnić, dziś dokładnie wiedzieć nie możemy. W mocy autora, który zagadkę tę podjął i ze wszystkich stron ukazał, było tylko wysnucie z dziejów i współczesnych stosunków najprawdopodobniejszej hipotezy. Do nas znowu, którzyśmy jego wywody w ogólnych rysach powtórzyli, należy tylko przypomnieć, że krótki czas, jaki od wydania książki Bonghi'ego upłynął, w niektórych szczegółach przypuszczenia jego unieważnił. Odnosi się to jednak wyłącznie do wybranych przez niego kandydatów na Stolicę Apostolską, z których nie wszyscy dotąd żyją. W każdym razie praca Bonghi'ego jest nietylko w ścisłym naukowym względzie bardzo ważną, ale i w społecznym wpływie swoim doniosłą, gdyż przed lada chwila oczekiwanym zgoleniem papieża i zależnemi od niego powikłaniami informuje opinię publiczną o ich naturze i cywilizacyjnej wartości. I dla naszego społeczeństwa, którego losy są związane z instytucją papieżstwa, dzieło włoskiego autora ma tyle interesu, że czytelnicy nasi poznali je niezawodnie z rzeczywistym zaciekawieniem i korzyścią.

Stronnicwa w Galicyi.

II.

Czas powstał w 1847 r. Był on istotnym wyrazem potrzeby, zachodnią bowiem Galicya, tworząca wtedy odrębną prowincję, ogniskującą się w Krakowie, nie posiadała żadnego pisma politycznego. Pomysł, zdaje się, wyszedł z kółka literackiego, urzeczywistniono go jednak za pieniądze arystokracji, a nakreślono pismu kierunek poglądom, interesom i potrzebom tej koteryi odpowiedni. Pierwszym redaktorem był Siemiński Lucyan, a przyniósł on dziennikowi łatwość pióra i ten europejski pozór, którego się redaktor natrzymał w swej włóczędce po obczyźnie. Mimo to, dziennik szedł źle; bo z jednej strony Siemiński nie był politykiem w ścisłym słowa tego znaczeniu, z drugiej publiczność, nieprzywykła do prenumerowania gazet, nie czuła powszechnie ich potrzeby. Aż trzy radykalne środki zaradziły początkowej biedzie: zmieniono redaktora, sprowadzając Maurycego Manna, który nadał wybitny klerykalny kierunek dziennikowi; sprawy finansowe powierzono w ręce bankierowi Kirchmayerowi, który, stawszy się panem położenia, nie żałował w tym kierunku pieniędzy, i nareszcie pozyskano dla pisma debity w Królestwie. Była to materialnie i moralnie ważna zdobycz; dziennik rozchodził się po Królestwie w przeszło 500 egzemplarzach, a jego konkurencja była nawet groźna dla ówczesnej *Gazety Warszawskiej*, co wywoływało między obu organami zabawy i gwałtowne polemiki.... w kwestiach literackich. Na sam *Czas* posiadanie debitu w Królestwie o tyle wywierało dobry skutek, iż dziennik musiał się trzymać ostrożnie, umiarkowanym był w wyrażeniach, wstrzeźliwym w wystąpieniach, przez co zyskał na powadze i zbliżał się tonem do europejskiego dziennikarstwa narodów wykształconych. Trwało to do 1861 r., to jest do utraty debitu w Królestwie na wniosek świeżo zmarłego hr. Al. Wielopolskiego. Ówczesny kierunek *Czasu* jest dowodem, jak dziennik ten, wraz z całą patronującą mu partją, nie tylko nie zrozumiał sytuacji, ale odegrał smutną rolę w własnych zasadach. Zamiast się z uznaniem odnieść do zachowawczej polityki Wielopolskiego, popierał on tę partję możnowładczą, która pod patronatem swego może uczciwego, ale niezdarne przywódcę głównie stanęła zaporą działalności hrabiego. Po stracie debitu *Czas* uległ naciskowi miejscowych okoliczności, które z Krakowa czyniły ognisko; a chociaż dziś wypiera się tego, chociaż zmienił najzupełniej kierunek, to jednak dowodzi tylko, iż zmiana kierunku nie przychodzi mu z trudnością, a redakcja w naiwności sądzi, iż ludzie nie już nie pamiętają z przeszłości.

Tymczasem wewnątrz Austrii przetrwały się stosunki; konstytucjonalizm i życie parlamentarne wprowadziły nowy ruch, wywołały objawy stronnicwa, starcie się opinii, co wszystko doprowadziło partję klerykalno-arystokratyczną do ścieśnienia swych szeregów, do większego zogniskowania się. Organem tej partji—stańczyków—stał się *Czas*. Do jego zasad przybyła mu tylko formuła o wspólności interesów społeczeństwa z interesami Austrii, o czem dotąd nie było mowy — ale co ważniejsze, przybyło mu znaczenie organu partji, przewodniczącej społeczeństwu. Dotąd *Czas* mógł wyrażać przekonania redakcyjne, mógł się mylić, mógł pewne niedorzeczności, które w żywocie dziennika są czasami usprawiedliwione, popełnić — ale odtąd wszystko to ustało. Zasady się skryształizowały, dziennik stał się niemal organem moralnego porządku,

przyznał sobie nieomyślność, a jego redakcja wystąpiła strojna w kapłańskie togi. Było to taką potrzebą i taką już posiadało siłę, iż nawet sromotny upadek Kirchmayera nie oddziałował szkodliwie. Tylko jako naturalne następstwo zamknięcia się i zajęcia stanowiska wyżej nad dziennikarskie wynikało to, iż w redakcji *Czasu* objawiło się zaniedbanie, stawiające pismo niżej krytyki. Upadł dziennik na 500 czy 600 abonentów, włóczęgą nędzny żywot na proszonym chlebie. Po upadku bowiem Kirchmayera własność *Czasu* objęli akcyonaryusze, a redakcja pozostała niezmienną. Widząc słabą żywotność pisma, probowano z nim konkurencji na jego własnym podwórku. Lecz pominawszy mnóstwo niedołączonych lub z nieodpowiednimi środkami przedsięwziętych prób, tylko jedna z ich rzędu na miano poważnej zasługiwać może. Pewna część arystokracji, którąbyśmy wigowską nazwać mogli, zamierzyła, nietylko w interesie dobra kraju, ile raczej w interesie własnym przeciwważyć partję stańczyków; złożyła więc fundusze i założyła osobny dziennik w Krakowie *Kraj*. Dziennik ten, z umiarkowaną wolnomyślnością prowadzony, mógł pozostać nie bez wpływu na społeczeństwo, pozyskał nawet kilka piór zdolnych, ale zbrakło mu przewodnika. Dzienniki, subwencyonowane nie od partji, ale od osób prywatnych, mają zawsze żywot niepewny. Redakcja ogląda się na subwencyę, a subwencyonaryusz, widząc swe nadzieje zawiedzione, zniechęcony, a częstokroć znudzony, gdy przeszła chwila kaprysu, cofa się, zamyka szkatułę i pismo upada. Na konkurencyę kapitału w kierunku dziennikarskim jeszcze chwila w Krakowie nie nadeszła; może tam jeszcze coś zrobić człowiek z silną wolą, z energią, poświęcony swemu interesowi i interesowi ogółu — ale takiego właśnie w Krakowie brakło i brakuje. *Kraj* w półtora, czy w dwa lata przestał wychodzić i dziś panowanie *Czasu* stało się niezaprzeczonem i niepodzielnem.

Ale wypadki idą nieustannym torem, a przedewszystkiem śmierć przecina wszelkie rachuby; rok bieżący zaś pozbawił *Czas* aż dwu jego najgłówniejszych filarów: umarł Mauryce Mann, a później Siemiński. Szczególniej śmierć pierwszego dała się uczuć boleśnie pismu, nowe bowiem siły, jakkolwiek wytresowane, wystąpiły ze swymi pretensjami czysto-osobistymi. Ztąd wynikły w redakcji niezgody, któreby się mogły dla pisma smutnie zakończyć, gdyby nie stało ono pod kontrolą partji. Ale w opowiadaniu tych najnowszych, a nader charakterystycznych dziejów dajmy słowo dobrze poinformowanym świadkom:

„Przy zreorganizowaniu dzisiejszej redakcji *Czasu* (jeśli się nie mylę, było to w pierwszym kwartale bieżącego roku, mówi korespondent *Dwutygodnika*) nastąpiła dość znaczna scysja między akcyonaryuszami tego pisma w kwestji obsadzenia posady głównego redaktora, opróżnionej śmiercią Maurycego Manna. Scysja, o ile mi z wiarogodnego źródła wiadomo, zaszła była tak daleko, iż niektórzy akcyonaryusze zagrozili w zapale dyskusji, iż w razie oddania steru pisma dzisiejszemu kierownikowi przestaną być akcyonaryuszami. Pomimo tego, przewagę głosów, jakimi rozporządzał główny akcyonaryusz, stało się to, czemu chcieli zapobiedz oponenci. Słowo się rzekło, pogroźkę wypadało spełnić. Spełnili ją też oni w samej rzeczy, ale spełnili w ten sposób, iż przekazali akcyę swoje swym dzieciom albo krewnym... demonstracya zaiste groźna! tak groźna — jakby przełożenie akcyi z lewej ręki do prawej. Cóż dalej? Oto nowy redaktor, publicysta niezaprzeczenie zdolny i zręczny, podwoił pracę i staranność, a dziennik przez *Czas* jakiś redagowany był z taką bacnością, artykuły wstępne pisane z taką werwą i talentem, jak za najwię-

tniejszych, dawnobiegłych czasów. Szablonowe premier Cracovie, tak nudne i jałowe, że publiczność oddawna odwykła je była czytać, ustąpiły miejsca innym, którychby się niekiedy i Veillot nie zapał, barwnym, pełnym życia a często i gryzącego dowcipu. Argusowemi oczyma czytający dziennik i czyhający na każdy błąd przeciwnicy nowej redakcji nie mieli do zarzucenia ze swego stanowiska. Zwolna, czy wyczerpał się zapas pomysłów, czy gorliwość osłabła, wracał dziennik do starszokowatego truchciku, jak koń maneżowy i dawnym znowu chodząc torem, coraz się stawał nudniejszym i jałowszym. Nie dość na tem: zaniedbanie w podawaniu i zestawieniu politycznych wiadomości, choćby z obcych pism wziętych, nieład w całym układzie i we wszystkich rubrykach, chaos pełen sprzeczności i niekonsekwencji, *lapsus calami* w każdym prawie numerze i ciągle przeciw tendencji pisma wykroczenia, to wszystko doprowadziło przyjaciół i nieprzyjaciół nowej redakcji do coraz głośniejszego sarkania, a wielu pół- i ówier-stańczyków konserwatywnej barwy zdecydowało się zamienić *Czas* na *Gazetę Lwowską*. Pomijam dalszych kilka faz i zająć redakcyjnych dość komicznej natury, o których w mieście rozprawiano”. (D. n.)

PROBOSZCZ PAINTOUX.

przez

EMILA ZOLE.

Ksiądz Paintoux jest już lat czterdzieści kapłanem parafii Saint-Maréchal. Obecnie ma on lat siedemdziesiąt. Jest to malecki, chudziutki staruszek, ze zgrubiałą, czerwona jak cegła twarzą. W swej starej, wytartej sutannie, którą nosi zamiast bluzy, wygląda na wieśniaka.

Historja jego — prosta. Jest synem biednego drwala, który żył w sąsiedniej wiosce. Słabowity z natury musiał znosić szturchańce braci, póki szczęśliwym trafem nie zainteresowała się nim jedna dama, która pomieściła go w seminaryum w Gerand. — Fizyczne trudy przerażały go: drzał na myśl, że będzie musiał dźwigać na grzbiecie ciężkie wiązki i rąbać drzewo, chętniej zgodziłby się zebrać na drodze, niż zostać drwalem jak ojciec. Prawdę mówiąc, postanowił sobie zostać księdzem, by nie być ani robotnikiem, ani żołnierzem. Przytem żyła w nim naiwna, dziecięca wiara. Przeżył seminarjskie lata w bezwarunkowym posłuszeństwie, ślepo wierząc w to wszystko, w co mu księża wierzyć kazali. Będąc strasznie ograniczonym i niezdatnym, nie utrudzał swej głowy myśleniem, w przekonaniu, że Bóg za niego myśli. W chwili święcenia wychodził z seminaryum wymustrowany, jak należy, i życzył sobie tylko, aby mógł w spokoju zajmować się swym rzemiosłem. Biskup w Nantes z początku przeprowadzał go z jednej parafii do drugiej, przekonawszy się jednak o jego ograniczonej naiwności i zrozumiały, jak posłusznym narzędziem będzie w jego rękę, posłał go do Saint-Maréchal, gdzie zapomniał o nim.

Saint-Maréchal jest to niewielka wioska w Niższej Bretanii, osadzona wśród pól. Droga żelazna z Nantes do Brest zostawia ją po za sobą w odległości dziesięciu mil. — Wieś ukryła się w odludnym miejscu na równinie, po której powiewają wiatry Oceanu, którego zielony skraj widnieje w dali na widnokręgu. Ma ona do czterystu dusz ludności biednej, bo i grunt kamienisty i wody brak znaczny. Męczenicza ta ludność żyje jak gdyby o tysiąc mil oddalona od współczesnej Francji. Tu przeżył swe lata proboszcz Paintoux i ostatecznie stępnął wśród wieśniaków w zapomnianym zakątku.

Stopniowo, jak koń w manezu, oswajał się ze swem prostym życiem. Zrana msza, po południu lekcya katechizmu, wieczorem gra w karty z sąsiadem. Trzysta franków dochodu, które parafia przynosiła, nie starczyły na utrzymanie; trzeba więc było, pomimo wstępu do rolniczej pracy, wziąć się za motykę i skopać zagony, na których dziś wyrastają kartofle i kapusta. Zdjąwszy sutannę i obnażywszy głowę, walczy proboszcz Paintoux z ziemią, zbyt twardą dla chudych rąk jego. Następnie wprost od roboty, wdziawszy sutannę, zadyszany, idzie spowiadać wiejskie dziewczyny i przypomina sobie zwykle łacińskie formuły, które jednym tchem wypowiada. Ma już gotowe frazesy i stałe gesta; powtarza je już od pół wieku i nigdy od nich nie odstępował. Religia stała się dla niego rzemiosłem, którego się wyuczył do tego stopnia, że odprawia mszę bez najmniejszej uwagi, mechanicznie, jak puszczona w ruch maszyna. Rzeczywiście jest nabożnym, lecz nabożność jego przeszła w praktykę, zadawałnającą się cogodzinnem powtarzaniem tych samych formuł i tych samych szczegółów kultu.

Przez ten czas, to jest w przeciągu pół wieku, poenił całą prawie wieś i ochrzcił całe pokolenie. Jest patryarchą Saint-Maréchal. W święta przynosi mu jaja i masło i radza się go we wszystkich ważniejszych sprawach. On rozbiiera procesy, on rozstrzyga rodzinne spory, on wreszcie rozdziela spadki. I nie naturalniejszego nad zwierzchnią władzę tego proboszcza; wszak on jeden tylko czyta w księgach, on jeden tylko jest w stosunku z nauką i Bogiem. Wszyscy go słuchają i postępują według jego wskazówek. Jest on przedstawicielem władzy potężniejszej od samego mera: ten ostatni przemawia w imieniu rządu, on zaś w imieniu nieba, a niebo jest jeszcze dla wieśniaka straszną siłą, przed którą on w pokorze schyla głowę. W całej parafii nie ma ani jednego niewierzącego. W Niedzielę kościół przepelniony; kobiety stoją z jednej strony, mężczyźni z drugiej. Wychodząc z sakramentem, proboszcz obejmuje wzrokiem kościół i przekonuje się, czy cała jego trzoda jest obecna. Jeśli owieczki jakiejś nie ma, musi ona później usprawiedliwić swą nieobecność ważną przyczyną — chorobą, która podnieść się z łoża nie dozwoliła. Z kazalnicy rozlegają się straszne groźby przeciw bezbożnikom, opisują się męczarnie piekła, płomienie, kotły napełnione wrzącym olejem, grzesznicy, których żarzą na rozpalonych sztabach żelaznych. Mężczyźni i kobiety drżą ze strachu, a dzieciom, po wyjściu z kościoła, cały tydzień śnią się okropności. Religia panuje nad temi ograniczonymi umysłami siłą trwogi. Bez wątpienia proboszcz najlepszy człowiek w świecie, który nawet muchy nie skrzywdzi: miewa takie kazania, jakie sam słycał, pędzi żywot w obawie i strachu przed groźnym Bogiem, wierzy w cudowne historie i legendy i dla tego to nabożność Saint-Maréchala przesiąknięta jest na wskróś trwogą i pokorą; dla tego w niej przebiega przynębnienie, które przypomina przynębnienie dzikich, żyjących w obawie gromów, zawieszonych nad ich głowami.

Raz w Niedzielę podczas mszy ksiądz Paintoux dostrzega, że Maryanny Roussel nie ma na jej zwykłym miejscu, wprost kropielnicy. Po śniadaniu idzie on do Rousselów, aby się dowiedzieć, czy Maryanna nie jest chorą. Wolnym krokiem przesuwa się po wsi, ledwie przebierając zesztywniałymi od starości nogami. Na nieruchomej i zgrubiałej jego twarzy zdają się żyć tylko małe szare oczy, jasne i niewinne, jak oczy niemowlęcia. Chłopi zatrzymują go po drodze, wypytują o jutrzejszą pogodę, on zaś spogląda na niebo, kiwa głową, wreszcie obiecuje pomyślną pogodę. O kilka kroków

dalej zwraca uwagę na babę, piorącą bieliznę; następnie wchodzi w jedno podwórze popatrzeć na wylęganie się kurczaków. — Wszędzie jest jak u siebie w domu. Tylko wytarta sutanna wyróżnia go od innych wieśniaków: myśli jego, mowa, nieruchoma twarz, wszystko to wieśniacze. Nareszcie wchodzi do Rousselów.

Maryanna zdrowa i rozmawia z sąsiadką, wysoką, niezgrabną Nanettą.

— Co to znaczy, Maryanno? Opuszczasz mszę.

I nie dając jej czasu do uniewinnienia się, prawi dalej, że to niedobrze, że dyabeł na nią czyha, że na pewno pójdzie do piekła, jeśli nie będzie się trzymała przepisów religii. Nareszcie Maryanna, odzyskawszy możność usprawiedliwienia się, powiada:

— Posłuchajcie, księżo proboszczu, ja nie byłam w kościele z powodu mej dziewczynki... Bardzo chora. Dziś rano myślałam, że umrze. Dla tego nie wychodziłam z domu...

— Twoja córka, Katarzyna, chora?

— Tak, księżo proboszczu, leży w łóżku... Niech dobrodziej popatrzy na nią.

Na olbrzymim łóżku, w głębi ciemnej izby trzęsie się w febrze dziewczeczka lat dziesięciu, z rozpaloną od gorączki twarzą, z zamkniętymi oczami. Małe, nikłe jej ciało rzuca się pod kołdrą. Proboszcz, zbliżywszy się do łóżka, spogląda na nią w milczeniu przez chwilę, następnie z wolna mówi:

— Bóg was karze, Maryanno... Tak! wyście go często obrażali, wyście często dawali złý przykład i prawica jego was dotyka.

Przy każdym słowie proboszcz kiwa podbródkiem, jak gdyby pochwałając niebo za jego zemstę. Katarzyna niezupełnie dobrze się prowadzi. W przeszły Czwartek zmuszonym on był podczas lekcji katechizmu wygnąć ją z kościoła, gdyż śmiała się i niepokoiła inne dzieci. Właśnie w ten dzień lał straszny deszcz; dziewczynka nie śmiała wrócić do domu z obawy, iż ją będą lajając i przemokła na deszczu do szpiku.

— Pewnie się przeziębiła w Czwartek — odpowiada matka. Wróciła do domu w okropnym stanie.

— Bóg ją i was karze, Maryanno — powtarza proboszcz. Czyż sądzicie, że Pan Bóg może być zadowolony, gdy widzi, że jakaś tam marna dziewczynka wysmiewa go w własnym jego domu? Bądźcie przekonani, że żaden występki nie pozostaje bez kary.

Wysoka Nanetta się żegna, stary Roussel, zabierający się za stołem do zupy, kiwa potwierdzająco głową. Tak! każdy występki podlega karze. Przeszłego Kwietnia padał grad, bo mieszkańcy Saint-Maréchal rozgniewali Matkę Boską, przyniósłszy jej w dzień Wniebowstąpienia nie tak piękne bukiety, jak przeszłego roku. Kobyła starego Piotra zdechła, bo stary zapomniał się przeżegnać, przechodząc mimo krzyża. Lecz ponieważ Rousselowie nie mogą sobie przypomnieć, czemu mogliby Boga rozgniewać, więc mają nadzieję, że Bóg za wstawieniem się świętych aniołów zmiłuje się nad nimi. Zresztą, jeśli za trzy dni dziewczynie nie będzie lepiej, posła po doktora do Noriac, odległego o sześć mil. Nanetta wrusza ramionami: według niej doktorzy — to zbyt cieżkie zupełnie plemie. Jeśli niebo osądziło człowieka, to już chyba doktor go nie ocali, tembardziej, że doktor w Noriac bezbożnik i wszystkim wiadomo, iż dyabeł zjawia się u łoża człowieka, który przeszedł przez jego ręce i przyjmował jego lekarstwa.

— Wycierajcie jej co godzina skronie święconą wodą i trzykrotnie odmówcie *Pater i Ave* — powiada proboszcz, poczem klęka i pospiesznie szepcze modlitwę. Roussel i Nanetta powtarzają wraz z nim: Amen! i zamaszycie się żegnając.

— Przejdzie — mówi proboszcz, wychodząc. Trzeba koniecznie, aby ciało dziecka

pozbyło się nieczystości... Odwiedzę was jutro.

Lecz, wchodząc nazajutrz do Rousselów, ksiądz Paintoux drzy cały i zastygłym głosem oznajmia straszną rzecz, o której mu dzwonnik doniósł. Małutka Kasia popełniła świętokradztwo. W Czwartek, kiedy ją wygnali ze szkoły, poszła się bawić do zakrysty i tam dzwonnik widział, jak zdjąwszy wianek z głowy Matki Boskiej gipsowej, włożyła go na siebie i przysiadła, zapewne by wysmiewać Matkę Boską. Ksiądz nie mógł pojąć, jak niebo nie zabiło ją na miejscu uderzeniem pioruna. Lecz teraz już jest zgubioną, nie ulega wątpieniu. Choroba zstąpiła na nią z wysokości. Niech posła, jeśli chcą, po doktora, to tylko przyspieszy śmierć.

— Wróciła bez suchej nitki na ciele — powtarza Maryanna. Może, gdyby jej dać na dobre poty...

— O! z nią kiepsko, bardzo kiepsko — szepcze stary Roussel, siedzący w kącie z opartymi na kolanach rękami.

Z biedną dziewczynką w samej rzeczy kiepsko: rozszarpały się blond jej włoski, z usteczek gorący dech wieje, przez pół odemknięte powieki widać rozpalone i bezmyślnie oczęta. Majaczy w malignie i wciąż powtarza: Och! boli! boli! Serce pęka na widok biednego dziecka, daremnie pasującego się ze śmiercią.

Tymczasem wiadomość o świętokradztwie obleciała całą wieś. Sąsiedzi zbiegają się, gdyż usłyszeli, że ksiądz proboszcz będzie wypędzał dyabła z ciała małej Roussel. W izbie gromadzi się ze dwanaścioro ludzi. Wszyscy szepczą. Przypominają sobie rozmaite historie, wszystkim wiadome. Trzy lata temu inna dziewczynka ściągnęła kawałek święconego opłatka i przytknęła go śpiłką do drzewa; natychmiast drzewo poczęło jęczeć, z pnia połała się krew, kapiąc ze wszystkich gałązek kroplami. Nanetta przysięga i klunie się, iż sama to widziała, dodając, iż w każdym razie siostra jej widziała napewno. Lecz druga historia sprawa jeszcze większe na obecnych wrażenie. Chłopaki z Saint-Nazar biegali w tłusty Czwartek w papierowych maskach; w tym samym czasie przechodził ksiądz z sakramentem; jeden z chłopaków nie zdjął maski, która mu tak silnie przystała do twarzy, iż trzeba było ją oddziierać wraz ze skórą. — Wobec takich przykładów nic dziwnego, jeśli Katarzyna umrze za to, że osmieszyła się włożyć na głowę wianek Matki Boskiej. — Niepokój, połączony ze strachem, panuje w izbie. Choć słońce jasno świeci, mężczyźni jednak zaniepokojeni, a kobiety oglądają się, czy za niemi nie widać pary koźlich nóg i rogów.

— To była taka łagodna, taka cicha dziewczynka — powiada stary Roussel. Chyba się jej wtedy w głowie przewróciło.

Wtedy proboszcz rozpoczyna swe modlitwy. Obchodzi łóżko i kropi je święconą wodą, robiąc na powietrzu znak krzyża. — Kasia nie przestaje jęczeć. Rzuca się w malignie, załamuje ręce, na jej ustach pojawia się piana; to szepcze słowa bez związku, to śmieje się, to płacze. Nagle podnosi się na łóżku z otwartymi i rozpalonymi oczami, wołając ludzi, których niby widzi przed sobą, poczem znów pada, śpiewając wruszającym głosem piosenkę dziecięcą: „Nous n'irons plus au bois, les lauriers sont coupés"... Wszyscy obecni mężczyźni i kobiety, cofają się w głąb, oczekując z przerażeniem pojawienia się sokoła z biednych, małych, rozpalonych gorączką usteczek. Nie można już wątpić, iż dyabeł w niej siedzi. Nie bez przyczyny ona tak podskakuje każdym razem, gdy kropla wody święconej na nią padnie. Napewno ją dyabeł zadusi.

U podnóża łóżka Maryanna płacze. Tylko jedno ma dziecko i nagle musi się go pozbyć,

nie wiedząc nawet, w czym tkwi jego choroba. Jeszcze raz zaczyna ona mówić o doktore, błagając męża, by pobiegł do Noriac. Lecz stary Roussel siedzi w kącie ciągle nieruchomy i martwy, a zamiast odpowiedzi kiwa tylko przecząco głową. Przyjmuje on śmierć swego dziecka z pokorą starych chłopów, ulegających wyższej i niewiadomej sile. Po cóż wzywać doktora, jeśli ksiądz proboszcz powiada, że Pan Bóg chce wziąć dziecko do siebie? Ksiądz musi lepiej wiedzieć. Trzeba uleść, na każdego przyjdzie kolej, a najlepiej dobrze się prowadzić. — Nareszcie proboszcz, przekonawszy się, że święcona woda męczy tylko niepotrzebnie dziecko bez żadnej korzyści, klaszcze z lekka w dłonie, jak w kościele, gdy daje znak swej trzodzie, by przykłęka. Wszyscy natychmiast zginają kolana. On zaś stoi przez chwilę, poczem przemawia:

— Módlcie się za mną, proście o cud Pana.

Zgrubiałe jego oblicze jaśnieje. Wierzy i staje się olbrzymem, nie bacząc na zgięty grzbiet wieśniaczy. Bo w istocie to poczciwa dusza. Z dawnym seminariskim zapałem pada na kolana, błagając Boga, by zlitował się nad dzieckiem. Ze wszech stron daje się słyszeć szept modlitwy; przestraszone głosy proszą Boga o litość; w izbie unosi się złodowaciałe technienie przesądu, przygnębienie ciemnoty wobec dramatu życia. — Dziewczynka przebywa ostatnią kryzys; następnie chwilę leży bez ruchu, jak gdyby poczuła ulgę. Lecz nagle ustaje oddech... ruchy... umarła.

— *Requiescat in pace* — przemawia proboszcz, podnosząc głos.

— *Amen!* odpowiadają obecni.

I wszyscy się podnoszą, wszyscy się rozchodzą, wstrząśnięci tą sceną. Maryanna jęczy, zasłoniwszy głowę chustką, a stary Roussel, odurzony, nie wiedząc sam, co czyni, wyjmując nóż, by oderznąć sobie kawał chleba.

Na ulicy ksiądz Paintoux powtarza:

— Wszyścysmy w rękę Boga, on postąpi z nami wedle spraw naszych. Widzicie to na przykładzie.

I cała wieś pochyla przed nim czoło, jako przed przedstawicielem strasznego Pana, który w każdej chwili może ukarać śmiercią. Dzieci obiecują, że się będą dobrze sprawowały podczas lekcji katechizmu; mężczyźni podchodzą i starają się dowieść swej uległości. Właśnie w następną Niedzielę mają mieć miejsce wybory do rady municypalnej; chłopci otaczają kapłana i pytają go, za kim mają głos podać. Wtedy on powtarza im instrukcję, otrzymaną poprzednio z dycezyi. Gdyby dziś, po śmierci Katarzyny, rozkazał on swym parafianom, by wzięli się do broni i wyruszyli burzyć Paryż, parafianie wykonaliby to bezwzględnie. Lecz nie ma on tak bujnej fantazyi i sam nie robi kroku bez rozkazu władzy. W następną Niedzielę ani jeden mieszkaniec mszy nie opuścił, a kandydaci dycezyi przechodzą jednogłośnie. Ksiądz Paintoux panuje w Saint-Maréchal jak Zastępny Pański, a raczej jak stary drewniany bałwan, wyrąbany toporem i trzymający w swem rękę grom, błyskawice i różne niedole.

Z prowincyi.

II.

Gazeta Polska proponuje, aby unikając zwykłych podstaw rozkładu ciężarów gminnych, zastosować je do opłat, wnoszonych przez mieszkańców do kas rządowych. Jak dziś podatek drogowy ustanowiony jest w stosunku 15% od podatku gruntowego i podymnego, tak samo możnaby odpowie-

dni procent od wszelkich opłat, w jakiegokolwiek formie do kas rządowych wnoszonych, na potrzeby gminne pobierać. Posiadacz ziemi płaciłby więc pewien procent od podatku gruntowego, posiadacz domu od podymnego i ogniowego, kupiec od świadczenia gildyjnego, procedurzysta od biletu konsensowego, szynkarz od patentu szynkowego i t. p. Trudno wprawdzie byłoby, po wiada *Gaz. Pol.* dosięgnąć kapitalistów i przekupniów, zwykle wolnych od wszelkich opłat; ale to już uprzywilejowane w kraju stanowisko i prawdopodobnie dopóki państwo wolnymi ich od opłat pozostawi, dopóty i zebrania gminne nie znajdą sposobu pociągnięcia ich do ponoszenia ciężarów publicznych. Jednakże ta kategoria mieszkańców najwięcej sądy zatrudnia, a więc i do ich utrzymania przyczyniać się powinna.

Kiedy mowa o sądach, nie możemy pominąć milozieniem oryginalnego zdarzenia, jakie miało miejsce w pewnej miejscowości kraju naszego. W pewnej sprawie zawezwano chłopca do Sędziego Pokoju (jedna ze stron należała do ludności miejskiej); przy badaniu sędzia zapytał go, jak się nazywa. Grzeczny tłumacz, przekładając mu słowa sędziego na język polski, zapytał: „Jak się pan nazywa”. Chłop sądząc, że go pytają o nazwisko pana, czyli dziedzica, wymienił takowe, a sędzia wpisał do protokołu; następnie zadawał jeszcze różne pytania chłopu który odpowiadał twierdząco. Po upływie pewnego czasu dziedzic otrzymuje awizację o zapłacenie pewnej sumy, zasądzoną od niego wyrokiem Sądu Pokoju na rzecz pewnej osoby, której dziedzic nigdy w życiu nie widział i nie znał. Zdziwiony udaje się do Sądu Pokoju i tu po bliższym objaśnieniu dowiaduje się, że rzeczywiście skazany został wyrokiem na zapłacenie oznaczonej sumy. Gdy dziedzic starał się przekonać sędziego, że żadnej podobnej sprawy nie miał i osoby, której należność przysądzoną została, nigdy nie znał, sędzia pokazał mu protokół, podpisany trzema znakami krzyża, w którym to protokole przyznaje należność. Dziedzic utrzymywał, że pisać musi umieć, choćby dla tego, że skończył uniwersytet. Dopiero po wzajemnych wyjaśnieniach wykryło się niemile *qui pro quo*.

KRONIKA POWSZECHNA.

a) z Cesarstwa.

Akt oskarżenia, w sprawie o przestępną propagandę. (*Goniec Urzędowy. C. d.*). Według Nizowkina organizacja kółka „czajkowców” głosiła, że między nimi nie ma wyższych i niższych, ani zwierzchników, ani podwładnych, lecz wszyscy równi, działają niezależnie od siebie, opierają się tylko na zjednoczonych siłach wszystkich członków kółka, znajdując w nich tę materialną podporę, która jest konieczna dla urzeczywistnienia podjętych przez pojedynczych członków przedsięwzięć. „Czajkowcy”, przekonani, że sama inteligencja w walce z istniejącym porządkiem niczego poważnego zdziałać nie może, postanowili czerpać dla siebie siły z łańcucha, ku czemu zaczęli zbliżać się do niego, czyli, jak się wyrażali, „chodzić do narodu”. Schodząc się z robotnikami, „czajkowcy” usiłowali doprowadzić do fanatycznej nienawiści dla istniejącego porządku niezadowolonych ze swego materialnego położenia, uwarunkowanego różnymi ekonomicznymi przyczynami i tym sposobem wytworzyć rewolucyjnych agentów pośród samego narodu. Gdy rewolucyjna partja rozwinię swoje siły i będzie rozporządzała obszerną agenturą, wtedy, według planu „czajkowców”, powinno było wybuchnąć ogólne powstanie, zarówno w miastach jak i wsiach, przyczem ruch mas winien był zacząć się konieczności równocześnie, dla tego, że przy takim sposobie działania rząd znajdzie się naraz między wieloma ogniami.

Za ogniska powstania służyć miały stolice, gdzie dla dania naporowi mas szybszego biegu projektowano utworzyć awangardy z ludzi śmiałych i dobrze środkami partji uzbrojonych, na którychby leżał obowiązek w Petersburgu np. zawiadnąć przedewszystkiem artyleryjskimi koszarami i twierdzą. Wogóle strategiczne plany zdobycia stolicy opracowane były bardzo dokładnie przez członków kółka,

którzy przedtem służyli wojskowo, od których (np. od Krawczyńskiego i Rogaczewa), Nizowkin między innymi słyszał, że Moskwa ze swemi połamanami ulicami i zaułkami przedstawia wszystkie dogodności do walki z wojskiem.

Ostatecznym celem wskazanych przez Nizowkina dążeń i planów kółka „czajkowców” było zburzenie państwa i zastąpienie obecnego ustroju życia narodowego „anarchią”, co widać z zeznania, jakie dał przy tłumaczeniu się Jarcewa, który, znając ze spotkań Czajkowskiego, Sineguba, Szyszkę, Krawczyńskiego, Klemensa, Czuruszyna i wielu innych „czajkowców”, objaśnił, że wspomniane osoby uznawały teoretycznie anarchię za ideał społecznego ustroju.

Najbliższem zadaniem rewolucyjnej działalności było dla „czajkowców” tylko zburzenie istniejącego porządku rzeczy, usuwając na drugi plan kwestję nowego układu życia, t. j. innemi słowy trzymali się nauki Tkaczewa. Dowodem takiego kierunku kółka „czajkowców”, jest ułożony przez jednego z członków, księcia Kropotkina, szkic p. t. „Czy powinniśmy zająć się rozpatrzeniem ideału przyszłego ustroju?” w którym Krapotkin skreślił niejako program działań rewolucyjnej partji w Rosyi. Całym szeregiem dowodów i rozumowań wykazuje on naprzód nicosię wszystkich istniejących form państwowego życia, rozstrzygnięcie zaś pytania o ideale ustroju przyszłego społeczeństwa zostawia narodowi. Następnie przechodząc do kwestyi, jakim sposobem naród może urzeczywistnić swój ideał, autor znajduje, że jedyną do tego drogą przedstawia gwałtowny socjalny przewrót, któryby nie ograniczył się tylko na obaleniu państwa, lecz zarazem unicestwił cały socjalny i ekonomiczny ustrój życia narodowego; wszelkie pokojowe drogi postępu odrzuca autor w swem piśmie, a nawet uważa je za szkodliwe. Dla przygotowania socjalnej rewolucyi w Rosyi, potrzeba, według autora, utworzyć rewolucyjną organizację, której podstawowemi zasadami być winny: zupełna równość wszystkich jej członków, niestnienie żadnej podległości jednemu lub kilku osobom, usunięcie fałszu i gwałtu we wzajemnych stosunkach dla osiągnięcia swych celów, a zarazem uznanie tego fałszu i gwałtu za rozumne i konieczne środki w stosunkach członków organizacji do władz rządowych i przedstawicieli kapitału. Przygotowawcza działalność rewolucyjnej organizacji winna być zwrócona głównie ku pomnożeniu liczby jej współwyznawców pośród właścian i miejskich robotników, za pośrednictwem czynnej propagandy swoich mniemań i wzmocnienia niechęci przeciw rządowi. Udziału w rewolucyjnej organizacji uczęcej się młodzieży autor nie dopuszcza. Do organizacji winni być przyjmowani tylko ci przedstawiciele owej młodzieży, którzy, porzuciwszy naukę, udadzą się między lud dla propagandy, wyrzekną się całego swego poprzedniego życia, nie tylko w zasadzie, lecz nawet w zewnętrznej jego formie, porzucą swoje nawyki i przeniosą się całkowicie w położenie robotników. Ludzi prostych uważa autor za najpewniejszych i najużyteczniejszych rewolucjonistów.

Dla przygotowania takich działaczy agitatorzy winni osiedlić się między właścianami i prowadzić stałą propagandę za pośrednictwem zbliżenia się do narodu. Dla ujawnienia rezultatów propagandy i obmyślenia dalszych środków autor zaleca urządzenie peryodycznych zjazdów agitatorów, a następnie zwraca szczególną uwagę na przygotowywanie rewolucyjnych działaczy z miejskich robotników, którzy, wróciwszy do domu, mogą rozpowszechniać między wieśniakami przejęte od agitatorów socjalne idee. Oprócz propagandy ustnej, uznanej za najpożyteczniejszą, autor dozwala i na propagandę piśmienniczą, dla której rewolucyjna organizacja winna zająć się przygotowaniem i rozpowszechnieniem w narodzie książek, w rodzaju opowiadań o dzielnych i wybitnych osobistościach z ludu, obrazów rozpaczliwego stanu w obecnym ustroju społecznym i t. d.

Z mów robotników i organizowania Spółek autor nie pochwała, gdyż sposoby te służą następnie do gromadzenia kapitałów i w rezultacie wywierają szkodliwy wpływ na naród. Miejscowe wzbudzenia między robotnikami i sprzeciwianie się władzom, mają, według niego, dla narodu wartość „wychowawczą” w znaczeniu rewolucyjnym, przyczem, nie radząc agitatorom wywoływać podobnych objawów, ażeby one nie odciągały narodu od dążenia do głównego celu—ogólnego powstania pod hasłem radykalnego przewrotu, autor niemniej uważa za pożyteczne nie przeszkadzać rozwojowi tych zjawisk, jeśli one zrodzą się drogą naturalną. W zakończeniu autor określa stosunki ruskiej rewolucyjnej organizacji do międzynarodowego stowarzyszenia robotników i ruskich emigrantów, a wyrażając zupełne współczucie dla działalności sekcji federalistów, zwłaszcza zaś jej ruskich przedstawicieli, zręka się całkowitej solidarności ze wszystkimi partjami emigrantów, wysnając, że ruska rewolucyjna partja winna ramoistnie rozwijać się wśród rossyjskiego narodu.

Zgodnie z zeznaniem księcia Kropotkina, kółko „czajkowców” zajmowało się rozpowszechnianiem rewolucyjnych pism, zarówno wśród uczęcej się młodzieży, jak i pośród narodu. Według Nizowkina wspomniane pisma przywożone były z zagranicy, albo przez samych członków kółka, albo za pośrednictwem kontrabandzystów, handel zaś książkami pozostawał w rękach Czajkowskiego, siostr Kornii-

łow, Serdiukowa i innych. To objaśnienie Nizowkina potwierdza się w zeznaniu Rabinowicza, który zaświadczył, że ludowe rewolucyjne książki, w rodzaju *Bajki o czterech braciach* i *Stełki Razina*, rozpowszechniane były szczególnie przez „czajkowców”; który mianowicie z członków kółka kierował specjalnie przywozem z zagranicy książek—Rabinowicz nie wie, chociaż mówiono, że zajmował się tem Kuprianow, którą to wieść, według mniemania Rabinowicza, popierały częste wyjazdy Kuprianowa za granicę. Kółko Czajkowskiego, nie ograniczając się przywozem do Rosyi książek występnej treści, zajmowało się nadto wypracowywaniem ich i wydawaniem. I tak, Nizowkina słyszał od Klemensa, że większość rewolucyjnych poezyj, zamieszczonych w *Piosennikach*, napisana była przez Klemensa, on również przerobił i zastosował do rewolucyjnych celów pracę Chatriana *Historja jednego francuzkiego wieśniaka*; nakładem „czajkowców” wydane były za granicą *Stełka Razin* i *Jemiłka Pugaczew*. W tym względzie zeznanie Nizowkina potwierdza się w danych śledztwa i badania, z których niewątpliwie wynika, że książkę Krapotkin przyjmował udział w napisaniu książki *Jemiłka Pugaczew*.

Zakup i wydawanie rewolucyjnych książek, jak również inne przedsięwzięcia wymagały wielkich wydatków, wskutek czego „czajkowcy” założyli kasę, do której, według słów Nizowkina, opartych na opowiadaniu robotnika Orłowa, wchodziły: 1) wkłady zamożniejszych członków kółka, w liczbie których znajdowała się Aleksandra Kornilow; 2) dochody z wszelkiego rodzaju loteryi i pieniądze, otrzymane drogą rozmaitych podstępów, wymyślanych dla wyyskiwania łatwowiernych i poczciwych ludzi, w czem odznaczały się szczególnie kobiety, wchodzące do składu kółka, jak o tem mówił Nizowkinowi Serdiukow i 3) przypadkowe ofiary i procenta od sprzedanych rewolucyjnych książek, któremi handel bynajmniej strat nie przynosił. Istnienie kasy kółka „czajkowców” potwierdza się także w zeznaniach robotników: Jakóba Iwanowa i Jegora Kudriaszewa. Według Iwanowa, Czaruszyn i Szyszko pokazywali robotnikom 500 rs., mówiąc, że pieniądze te zebrał dla kasy, a według Kudriaszewa, na jednym zebraniu, odbytem po zaaraszowaniu Czaruszyna, książkę Krapotkin, odpowiadając na oświadczenie, że Czaruszyn obiecał zapłacić za żywność Kudriaszewa, oznajmił, że ponieważ on teraz kasę zarządza, on również wyda pieniądze. Niezależnie od tego, za dowód istnienia kasy „czajkowców” służą zabrane przy rewizji u Hauensteina pieniądze w ilości 1,110 rs. 73 kop.

Według zeznania Hauensteina, z liczby wspomnianych pieniędzy 1,110 rs. były własnością słuchaczki zeńskich kursów przy Medyko-Chirurgicznej Akademii, Wiary Iwanickiej, która mu poleciła przed rewizją umieścić je w banku. Tymczasem zapytana o to przy badaniu Iwanicka, jakkolwiek przyznała, iż rzeczywiście dała Hauensteinowi na początku 1874 roku do schowania pieniądze bez żadnego kwitu, lecz nie umiała ściśle określić ich sumy. To zeznanie Iwanickiej, w związku z innymi ujawnionymi odnośnie Hauensteina okolicznościami sprawy, prowadzi do przekonania, że wspomniane pieniądze należały do kasy kółka „czajkowców”.

Zachowując, według zeznania Nizowkina, ciągły związek z emigrantami, od których otrzymywano rewolucyjne książki, kółko „czajkowców” weszło jednocześnie w bliskie stosunki z innymi petersburskimi kółkami, z których kilka powstało pod bezpośrednim jego wpływem, a zarazem miało i zewnątrz Petersburga w różnych miejscach Cesarstwa związki z osobami, które później przyłączyły się do sprawy rewolucyjnej propagandy. Czaruszyn ukazywał się w Moskwie między studentami Piotrowskiej Akademii; on i Hauenstein mieli stosunki ze studentem tamtejszego Uniwersytetu Owczynnikowem; Obodowska—w Moskwie ze studentem Uniwersytetu Salinim; Serdiukow—ze słzalcicem Iwaniczynem Pisarowem, mieszkającym w Jarostawskiej gubernii, z wiejską nauczycielką Sabarową i t. d. Oprócz tego w Odessie Wołchowski i w Kijowie, według Rabinowicza, studenci uniwersytetu Akselrode, Löwenthal, Lourier, pozostawali także w stosunkach z kółkami „czajkowców”. Obodowska prowadziła korespondencję z zesłanym do Archangielskiej gubernii Natansohnem, z której, między innymi, zwracają na siebie uwagę następujące miejsca w liście pod datą 31 go Stycznia: „sama zyska wogóle jakoś mało mnie zajmuję; myślę ciągle o tem przygotowaniu, do którego winieniem dojść na zyscie, o takim przygotowaniu, ażeby, gdziekolwiek mnie los rzuci, mógł wyśoko wnieść szandar narodowej sprawy. Przekonywam się, iż straszniejszem od wszystkiego, że pełnego systematu czyli katechizmu dotąd w narodowej partyi jeszcze zupełnie nie ma, że o narodzie można dziś powiedzieć tylko—daremnie on proroka o ciebie prosi. Cel więc przygotowania wyjaśnia się: zebrać wszystkie oddzielne obrony narodowej sprawy, wszystkie odłamki i złączyć je w jedną uporządkowaną całość, w coś takiego, co dałoby partyi odpowiedź na wszystkie zapytania, wychodzące od osobistości... Prośba: wszystkimi siłami staraj się, ażeby przyjaciele nie upadali.... Przekaż odemnie ukłonię i Pierowskiej”.

Wreszcie w końcu 1873 r. Porfirusz Wojnoralski, jak widać z jego własnego zeznania, znał się już z niektórymi przedstawicielami kółka „czajkowców”,

Krawczyńskim i Rogaczewem. Kółko to, zaraz po utworzeniu się, przystąpiło do urzeczywistnienia swoich występnych zamiarów, zwłaszcza w Petersburgu. Latem w 1873 r. wielu jego członków wyjechało ze stolicy, pozostali zaś w Petersburgu ich współzawodnicy gorliwie zajęli się sprawą rewolucyjnej propagandy. Rogaczew, jak widać z zeznania obwinionego włóścianina Grzegorza Szczegłowa, wstąpił jako prosty robotnik do zakładu Putiłowa; Krawczyński, który aż do wiosny prowadził wykłady historii, ograniczające się właściwie, według Nizowkina, do opowiadań o buntach Razina i Pugaczewa, wynoszonych przez niego pod niebiosa, zamieszkał na początku lata razem z Klemensem około Kinowiei, w miejscowości znanej pod nazwą „Kłoczek”, w mieszkaniu robotnika Orłowa, co także potwierdza w swem zeznaniu Szczegłow, równocześnie mieszkający razem z Orłowem i drugi robotnik Ignacy Baczyn. Przebywszy z tydzień razem z Krawczyńskim i Klemensem, Orłow przejechał do innego mieszkania i osiedlił się za Nową Rogatką; Krawczyński zaś i Klemens zostawszy w Kłoczku, wędli dalej swoje zajęcia z robotnikami, którzy do nich przybywali już zupełnie zyskani dla rewolucyjnego kierunku, mianowicie z Obnorskim, Orłowem i innymi. Przebywanie Krawczyńskiego i Klemensa w Kłoczku potwierdza się: 1) zeznaniem Sinegub, z którego widać, że on, osiedlwszy się latem 1873 r. w Kłoczku, zastał już tam Krawczyńskiego; 2) świadectwem Orłowa, który wyznał, że mieszkał czas jakiś w Kłoczku u Klemensa i 3) świadectwami robotników Smirnowa i Szczegłowa. Według Smirnowa, był on raz z Obnorskim w Kłoczku i słuchał wykładu Krawczyńskiego o politycznej ekonomii; z zeznania zaś Szczegłowa okazuje się, że on udał się do Kłoczka razem z Orłowem na wezwanie ostatniego, który go przedstawił dwu przyjaciółom, Krawczyńskiemu i Klemensowi, o znajomości z którymi Orłow nie radził mu „dużo paplać”. Szczegłow odwiedzał kilkakrotnie Krawczyńskiego i Klemensa i był obecny na lekcjach, na jednej z których Klemens dowodził, że mnichy są darmozjadami i że Pan Bóg nie może wyczerzyć robotników francuzkiego języka, a on może. Zarówno Klemens, jak i Krawczyński przychodzili, według Szczegłowa, do jego wspólnego z Orłowem mieszkania; według zeznania robotnika Baczyna, przychodził Obnorski i Winogradow, a przez Orłowa Baczyn poznał Klemensa, który znowu ze swej strony pozajomiał go z Sinegubem; u ostatniego spotykał Krawczyńskiego i Rogaczewa. (D. c. n.)

b) Krajowa.

Reformy.—Rada Państwa, w połączonych departamentach Praw i Ekonomii Państwa i na ogólnem zebraniu, rozstrząsnąwszy przedstawienie zarządzającego Ministerstwem Sprawiedliwości względem wskazania trybu przyjmowania, przechowywania i wydatkowania sum pieniężnych, wpływających do Sądów Gminnych Okręgu Sądowego Warszawskiego, jak również rachunkowości i zdawania sprawy co do tych sum i zgadzając się z wnioskiem zarządzającego Ministerstwem Sprawiedliwości, uchwaliła: w uzupełnieniu art. 76 ustawy inst. sąd. ustanowić następujący przepis: „tryb przyjmowania, przechowywania i wydatkowania sum pieniężnych, wpływających do Sądów Gminnych Okręgu Sądowego Warszawskiego, jak również rachunkowości i zdawania sprawy co do tych sum, wskazany zostaje w przepisach, układanych i w razie potrzeby zmienianych za wzajemnym porozumieniem Ministrów Sprawiedliwości i Finansów i Kontrolera Państwa. Przepisy pomienione podawane bywają do wiadomości powszechnej. Najjaśniejszy Pan, powyższą uchwałę Rady Państwa, 26-go Listopada 1877 r., Najwyżej raczył zatwierdzić i rozkazał wykonać.

Sprawy sądowe.—Drugi departament cywilny Izby Sądowej Warszawskiej, osądziwszy już znaczną liczbę spraw rozpoczętych za dawnego sądownictwa, a potrzebujących szybkiej decyzji, postanowił obecnie uporządkować swoją wokandę. Posiedzenia podobnie jak dotąd odbywać się będą we Wtorki, Czwartki i Soboty. We Wtorki rozpatrywane będą sprawy zapisane do rejestru, wymagające szybkiej decyzji; we Czwartki sądzone będą sprawy sumaryczne i zwyczajne, czyli ordynaryjne, w takim porządku, że jedna ordynaryjna sądzoną będzie po dwóch sumarycznych; w Soboty zaś będą się odbywały po siedzenia ekonomiczne. Prezes departamentu, p. Rogoziński, przyjmować będzie prośby o wyznaczenie stałego terminu do słuchania sprawy w następujących wypadkach: a) w sprawach substancyjnych, oraz wynikłych ze skarg na tymczasowe wykonanie wyroków; b) w sprawach o eksmisję z posiadania majątków nieruchomości po upływie kontraktu dzierżawy; c) w sprawach ze skarg incydentalnych; d) w sprawach o uwolnienie z pod zajęcia ruchomości, obciążonych arsztem za długi innej osoby. Prezes departamentu wydał też decyzje, ażeby adwokaci przy podawaniu na imię jego prośb o przyspieszenie sprawy zachowywali następujące formalności: a) czynili wzmiankę kiedy sprawę wniesiono do rejestru, do jakiego mianowicie rejestru i pod jakim numerem; b) wyłuszczyli w krótkości, na jakich zasadach uważają sprawę za potrzebującą niezwłocznej decyzji. Prośby, podawane przez same strony bez podpisu obrońcy, tudzież prośby, wnoszone przez obrońców bez zachowania powyższych przepisów, nie będą całkiem rozpatrywane.

Instytucje prywatne.—W d. 19 b. m. odbyło się ogólne zebranie Stowarzyszenia Subjektów Handlowych; obradowało głównie nad sposobami polepszenia bytu materialnego instytucji. Zarząd zaproponował, ażeby członkowie starali się o powiększenie osobistego składu Stowarzyszenia i ażeby członkowie, którzy odpowiedniemi rozporządzą funduszami, wnieśli składkę swoją nie w ratach miesięcznych, ale za rok cały. We wszczętej nad tym przedmiotem dyskusji jeden z członków krytykował działalność zarządu, który znalazł gorliwego obrońcę w panu Silberbaum. Projekt zarządu, poddany pod głosowanie, upadł większością 11 głosów. Posiedzeniu, na którym znajdowało się 86 członków, przewodniczył p. Adolf Peretz, przy pomocy asesorów pp. Olszewicza i Guttenberga i sekretarza p. Stanisława Barcińskiego.—Towarzystwo lekarzy w Lublinie odbyło w drugim półroczu roku przeszłego pięć posiedzeń, na których debatowano między innymi nad kwestyą wiadomości statystycznych z dziedziny medycyny, dotyczących gubernii Lubelskiej; dalej nad sprawą stacyi meteorologicznej, która niebawem będzie założoną; wyznaczono już bowiem potrzebną kwotę na narzędzia obserwacyjne i skoro zostaną sprowadzone, rozpoczyna się spozstrzeżenia. Wreszcie zajmowano się szczegółowo sprawą szczypania ospy, którego dokonywają obecnie felczerzy. Zdaniem Towarzystwa, operacja szczypania ospy, nader ważna dla każdego dziecka, winna być dopełniana ze szczególną bacnością i znajomością rzeczy; dlatego Towarzystwo postanowiło, aby czynność ta, ile możności najęściej, spełniana była przez lekarzy. Celem zaś zaprowadzenia, o ile można, prawidłowego szczypania ospy, urządzono rodzaj statutu, złożonego z jedenastu paragrafów, który umożliwić ma kontrolę i zachowanie należytego porządku przy szczypaniu ospy.—Spółka Zakładu Leczniczego w Solcu ogłasza, że ogólne zebranie akcyonaryuszów, w d. 10 b. m. odbyte, uchwalilo wypłatę kuponów procentowych i dywidendowych po 5%, czyli rs. 12,50 od 250-rublowej i 5 od 100-rublowej. Wypłaty d. 14 b. m. uskutecznił dom handlowy Jana Redel.—Onegąd odbyło się posiedzenie roczne Towarzystwa Lekarskiego Warszawskiego w lokalu własnym, przy ulicy Niecałej. Przy wyborach powołani zostali większością głosów na prezesa prof. Uniw. Warsz., Dr. Henryk Hoyer, na vice-prezesa Dr. Romuald Płaskowski, a na sekretarza Dr. Klink.

Wystawy.—Panowie Ehrlich i Kaczała, mianowani przez Kijowski oddział Cesarско-Rossyjskiego Towarzystwa Technicznego delegatami na Wystawę Paryżką, wystosowali do panów wystawców z Cesarstwa i Królestwa okólnik, zawierający następujące punkta: 1) delegaci podejmują się rozpakowania przedmiotów przybyłych do Paryża, wykonania szaf, piedestałów, witryn, ustawienia przedmiotów i t. p. a po ukończeniu wystawy zajmą się upakowaniem przedmiotów i odesłaniem do kraju. 2) Czuwać będą nad interesami handlowymi wystawców i ocenieniem przedmiotów przez jury. 3) Zamierzają przez cały czas trwania wystawy wydawać zeszytami ilustrowany opis jej w języku polskim. 4) Koszta sprawienia szaf dla grupy ogólnej, napisów, draperyi i t. p. wynosić będą sto rubli, z których połowa ma być płatna z góry, a druga połowa po ukończeniu wystawy. Bliższych wiadomości można zasięgnąć pod adresem: „Kijów, w kantorze E. Ehrlich”.

Teatr.—Po wystawionych *Pogodzonych z losem* kolej przyjdzie na Szekspirowskiego *Króla Lira*, w którym rolę tytułową przedstawi p. Królikowski.

Zmarli.—Dominik Zieliński, zmarły w d. 16 b. m., znakomity adwokat, oddawał się studiom i piśmiennictwu. Literatura naukowa zawdzięcza mu traktat o prawie wekslowem, drukowany w *Przeglądzie Sądowym*. Nieboszczyk zajmował się głównie kodeksem handlowym, w zakresie którego ważnych kilka rozpraw ogłosił w *Gazecie Sądowej*.—Ignacy Onichimowski, który pod pseudonimem Ziemięstawa Szczerego zasiał pisma warszawskie pracami swemi wierszem i prozą, i w dobrach swoich Lipowie, w gub. Grodzieńskiej. W roku zeszłym między innymi *Kłosa* ogłosiły zajmującą jego monografię, p. t. *Pińsk i Pińszczyzna*.

c) Zagraniczna.

Nauki.—Donosiliśmy już o jednoczesnym prawie zagegżczeniu tlenu przez dwóch uczonych p. Cailletet i Pietet. Do roku zeszłego było jeszcze sześć gazów, opierających się działaniu ciśnienia i niskiej temperaturze, a mianowicie: tlen, wodór, azot, dwutlenek azotu, gaz błotny i tlenek węgla. W 1876 r. p. Cailletet pod silnem ciśnieniem i w niskiej temperaturze zgegżcił dwutlenek azotu, a gaz błotny doprowadził do postaci mgły. Dnia 2 Grudnia 1877 r. tenże sam uczoney zawiadomił listem pana Dumasa, iż zgegżcił tlen i tlenek węgla. Dnia 16 Grudnia zrobiono próby w pracowni Szkoły Normalnej w Paryżu szczęśliwie, lecz p. C., z powodu toczącej się sprawy jego mianowania członkiem korespondentem Akademii, delikatnie się wstrzymał od ogłoszenia rezultatu publicznie. Tymczasem Akademia została zawiadomiona przez Raula Pietet z Genewy, iż tenże 22 Grudnia, pod ciśnieniem 320 atmosfer i przy 140 stop. zimna, za pomocą złączonego działania kwasów siarczanego i węglowego tlen w płyn zamienił zdołał. 1,000 ob. gazu daje 4 ob. płynu tlenu. Nareszcie w ostatnim dniu zeszłego roku p. Cailletet poddał powietrze operacji i wypływało ono z przyrządu w postaci płynu! Zamieniono więc w płyn

azot! Czy się uda tego dokonać z wodorem, dziś już wątpić nie można.

Posiedzenia naukowe i miłanowania.—Na posiedzeniu wydziału historycznego Akad. Krak. d. 11 Stycznia odczytano dalszy ustęp z pracy D-ra Zakrzewskiego *O bezkrólewiu po ucieczce Henryka*.—W Stowarzyszeniu ukończonych techników we Lwowie, na posiedzeniu miał odczyt bar. Gostkowski: *O nowych poglądach na pomiar ziemi naszej*.—W Towarzystwie Pedagogicznem Lwowskiem Dr. Widman miał odczyt: *O odżywianiu człowieka w stanie zdrowia i choroby*.

Szkoły.—Od 1875 r. szkoły w Węgrzech robią znaczny postęp, dotąd jednak 300,000 dzieci nie miało szkolnej książki, a $\frac{2}{3}$ z uczęszczających umie zaledwie czytać i pisać.

Wiadomości literackie.—Znany O. Curci wydał już swą broszurę *La Chiesa e l'Italia*.—Geograficzne imiona słowiańskie, zestawione alfabetycznie, według nazw ich niemieckich, włoskich, rumuńskich, węgierskich i tureckich, z dodaniem niektórych łotyskich i innych zagranicznych, spolszczonych przez St. Zarahskiego.—*Poezye Aurelega Urbańskiego*. Lwów 1877 r.—Karol Forster w Berlinie zapowiada wydanie *Episode de 1796 L'hôtel Diesbach ou Les Polonais en Paris. Epique de la fondation des légions polonaises en Italie en 1796*.—P. Gnatowski, krakowianin, wypracował rozprawę *O realizmie w literaturze nowoczesnej*.—Aus dem *Leben Heinrich Heine's*, v. H. Hüffer, wyszło w Berlinie—ręczny i interesujący napisana.—Wyszła również dawno oczekiwana autobiografia F. W. Hückländera, p. t. *Der Roman meines Lebens*.—*Der Humor Shakespeares*, odczyt Erlicha.—Aus *altrömischer Zeit*, v. Th. Simons, z ilustracjami Wagnera, wydanie przepyszne.—Wojciech hr. Dzieduszycki napisał nową powieść *Cesarz Aurelian*, która wyjdzie nakładem księgarni Belzy.—Gubrynowicz wydaje ilustrowaną edycję *Kłopotów starego komendanta*.—Kraszewski oprócz rozpoczętych powieści w pismach warszawskich drukuje obecnie *Upiór w Strzesze, Krwawe znamię w Tygodniu*.

Prasa periodyczna.—Czas rozpoczął druk nader zajmujących *Listów z Ameryki południowej D-ra Wł. Klugera*—Nr. 1 *Przewodnika Naukowego i Literackiego*, wychodzącego we Lwowie, zawiera: Próba emancypacji i polityki Augustowskiej i intrygi Posadowskiego, rezydenta pruskiego w Warszawie 1720 r., Kaź. Jarochońskiego, Uniwersytet a nauka, D-ra Cwiłkińskiego. Droga króla Władysława do Badenu i kongres w Nikolburgu, opisany przez Jakóba Sobieskiego, p. D-ra Kubalę.—Lwowskie pismo *Lowiec*, wychodzi pod redakcją p. Zontaka.—P. J. Gniwosz we Lwowie rozpoczął wydawnictwo pisma ekonomicznego tygodniowego p. t. *Strażnica*.—W Krakowie ma powstać podobno nowe pismo humorystyczno-kleryczne p. t. *Kropidło*. Drzyście szatany postępu, czekają was egzorcyzmy!—*Dziennik Polski* we Lwowie przeszedł na własność ks. Adama Sapiehy, a jego redaktorem został p. Liberat Zajęczkowski, dotychczas redagujący *Szczutka*.—Jedno z najlepszych pism niemieckich *Nord und Süd*, wychodzące pod redakcją Pawła Lindau, w styczniowym zeszyście między innymi zawiera: D-ra Kleina: O stopniowym przerabianiu myśli w mowie, nowellę Jensena Bohemund i nadzwyczaj zajmującą pracę Erbena: O Tebańskich tajemnicach. Windscheita: O historycznej sakole w nauce prawa. F. Müller scharakteryzował poetę Porphyriusa i t. d.—Ks. Kantecki, redaktor *Kuryera Poznańskiego*, ociemniał.—W *Unsere Zeit* Nr. 1, zawiera: Terazniejsze postępy w Afryce Hellwolda i Paryżkie teatry Petersena.—W *Litteraturblatt* Nr. 1 Höller ciekawie opowiada: Das Geld und der Poet.—W *Illustrierte Welt* rozpoczął Römer romans Gräfin Sybilla, a Vacano—Stoltz und Liebe.

Wiadomości społeczne.—Sąd we Lwowie uwolnił z aresztu p. Romanowicza za kaucją 5,000 zlr.—Komitet Krakowski, obmyślający sposób uczczenia jubileuszu Kraszewskiego, zgodził się na termin obchodu 1879 r., t. j. jednocześnie z Warszawą i Lwowem. Od Krakowa ofiarowany będzie wieniec srebrny z napisami dzieł jubilat, oraz utworzony został komitet celem popierania prenumeraty na dzieła Kraszewskiego.—Prokurator oskarżył pp. hr. Alf. Sierakowską, St. Koźmianową, Żupańską, Cegielską i Gąsiorowską o zbieranie składek na teatr polski w Poznaniu, a sąd skazał je na 5 marek kary lub jeden dzień aresztu.—W Gorlicach, w Galicji, istniejące dotąd dwa towarzystwa złączyły się w jedno *Tow. Przyjaciół Oświaty* z celem udzielania pomocy ubogim uczniom urządzania prelekcji, bibliotek i t. d.—Nowy cud! Dzieci ujrzały na Szlązku w lesie do nadleśniczowstwa Katolicka Kuźnica (Katholisch Hammer o 4 mile na północ od Wrocławia) Matkę Boską, która na 4 Marca obiecała powrócić.—W Czechach zamierzają święcić pięćsetletnią rocznicę śmierci Karola IV.—Starokatolicy na przyszłym synodzie w Królewcu zamierzają postawić kwestję zniesienia celibatu u księży; już w gminie Baden działa taki ksiądz żonaty.—We Lwowie otwarto salę rozpraw przy sądzie karnym, odnowioną z funduszu, strącanego dobrowolnie z pensji urzędników sądowych.

Sztuki piękne.—*Pochodnie Nerona* wystawiono we Lwowie w sali na Strzelnicy, bardzo niedogodnie, z powodu odległości od środka miasta. Z tego też powodu w pierwszą Niedzielę tylko 521 osób obraz zwiędziło!—Artystom malarzom i przemysłowcom

możemy polecić: *Der Formenschatz der Renaissance*, nakład J. Hirtha w Lipsku.

Teatr i muzyka.—P. Esipowa, znana fortepianistka, występuje z koncertem w Krakowie.—W Rzeszowie galic. bawi trupa p. Jasińskiej.—Wieczór Opery Wiedeńskiej był liczniejszy niż pierwszy.—Minna Hauk zaangażowaną została do Brukselli, gdzie grać będzie w operze *Carmen*.—We Lwowie przedstawiono tragedję Wilbrandta *Aria i Messalina*, w przekładzie Urbańskiego.

PRZEGLĄD POLITYCZNY.

Przyszły tydzień będzie zapewne na wszystkie kierunki życia Europy bardzo wpływowym. Zdecyduje on bowiem, czy dotychczasowa wojna się zakończy, czy daleko większa się rozpocznie. Wysłani przez Portę pełnomocnicy już się z głównodowodzącymi przeciwnej strony spotkali. Zachodzi więc tylko pytanie: jakie warunki owa zwycięzka strona postawi, czy je zwyciężona przyjmie i czy klejącej się zgody interwencya mocarstw trzeciich nie rozerwie?—O pierwszym punkcie pytania różnie krążą domysły i wieści. Według jednych źródeł, Rossya żąda: zamiany Batumu na port wolny, rozszerzenia granic aż do Karsu, zburzenia tej twierdzy i Erzerumu; nadto ma ona wnieść na konferencyę mocarstw propozycję usamowolnienia Bułgarii i otwarcia Dardanellów dla przepływu wszelkich statków. Według innych, otwarcia tego ma Rossya domagać się tylko dla siebie (i Turcyi), żądać przytem $1\frac{1}{2}$ miliarda wynagrodzenia za koszty wojenne, autonomii podległych, a zupełnej niezależności lennych państw południowo-słowiańskich. Słychać także o chęci odzyskania tej części Bessarabii, która po wojnie Krymskiej odpadła do Rumunii i o powiększeniu granic Czarnogórze i Serbii. Chociaż telegraf doniósł, że książę Karol zwrócił się do Cesarza Niemieckiego z prośbą o wstawienie się, ażeby Rumunia Bessarabii nie utraciła, myśl takiej aneksyi wydaje nam się bardzo nie prawdopodobną. Współdziałanie armii rumuńskiej w wojnie, pokrewieństwo jej księcia z dworem niemieckim, dwa bardzo ważne względy przemawiają za tem, że Rumunia na wojennej operacyi coś zyska, a gdyby koniecznie jakiś skrawek swego terytorium ustąpić musiała, odpowiednio za niego lub z nadatkiem wynagrodzoną zostanie.

Jakiekolwiek są lub będą podyktowane warunki pokoju, w każdym razie zdaje się, że ostatecznym ich rezultatem będą dwa bardzo ważne wypadki: Turcyja straci państwa lenne w Europie i sama za koszt wojny zostanie państwem lennem w Azji. Czy ona na los taki się zgodzi, zależy to będzie naturalnie od tego, w jakim stopniu przymierza pomoc jej zapewnią. Gdybyśmy, nie oczekując bliższego rozwiązania zagadki, koniecznie wróżyć musieli, oświadczylibyśmy się za tem przypuszczeniem, że Anglia, widząc dziś niepodobieństwo utrzymania całości Turcyi, postara się przynajmniej o *otrzymanie jej części*, do czego niezdecydowane dotąd jasno położenie rozgrzesza ją ze skrupułów. Przez cały ciąg wojny ile razy posłowie tureccy pytali się o przyszłość albiońskiej wyroczni, odpowiadała ona im zawsze, jak wszystkie wyrocznie, tak, że prorocstwo jej w każdym wypadku spełnić się mogło. Gdy przejdziecie Bałkany, pokonane będzie wielkie wojsko—powiedziałyby Turkom Pytania delficka, podobnie rzekła albiońska. Nigdy omylić się nie mogła, bo jakieś „wielkie wojsko” tej lub innej strony pokonane być musiało. Ze Anglia w swej polityce względem Turcyi „stosowała się do okoliczności”, dowodem ujawnione w parlamencie dyplomatyczne akta *Księgi Błękitnej*, które styka-

ją się w niej z sobą najwyraźniejszymi sprzecznościami; że dziś gotowa nie korzystać ze spełnionego, a „nieprzewidzianego wypadku”, którym we wszystkich tronowych i nietronowych deklamacyach warunkowała swą neutralność, świadczy zachowanie się parlamentu i poufny list królowej Wiktorji do Najjaśniejszego Pana przesłany. Wszystko więc zdaje się wskazywać, że żyjemy w przededniu faktycznego rozbioru Turcyi.

Naturalnie, zachwiane w swym biegu nadzieją pokoju działania wojenne rozwijają się bardzo powoli. Po zajęciu Adryanopola, jedna gałąź armii tureckiej cofnęła się w kierunku zagrożonej stolicy, druga pod wodzą Sulejmana, zebrawszy swe rozproszone oddziały, wsiada na okręty i morzem Egejskiem odpływa dla połączenia się z innemi.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

Najwymowniejszym dowodem pokojowego usposobienia giełd jest ta okoliczność, że pomimo niekoniecznej jasnej sytuacji politycznej kursa idą w górę. Wprawdzie szybkie postępy armii rosyjskiej przemawiały bardzo za pokojem, wprawdzie opuszczenie Adryanopola uważano za stanowczy krok w tym względzie, atoli kwestya dyplomatyczna przedstawia się w świetle tak wątpliwem, że słuszne budzi obawy. Zresztą pewność giełd, cechująca pierwszą połowę tygodnia, ustąpiła w drugiej, gdy zabrakło wiadomości z pola bitwy i gdy telegramy z Konstantynopola zwiastowały wojowniczy prąd w tureckim parlamencie. Nam się zdaje, że stan niepewny jest bardzo usprawiedliwiony; bo jeżeli nikt o tem nie wątpi, że pokój musi nareszcie nastąpić, to jednakże nie trzeba zapomnieć, że ilość rozmaitych interesów, wchodzących tu w rachubę, może wytworzyć niejedno nieporozumienie jeżeli nie zniwieczy, to przynajmniej oddalić tak bardzo upragnioną chwilę.

Oto tło, na którym rozwijały się transakcje giełdowe w ubiegłym tygodniu w całej Europie—bo u nas tendencya była bez wyjątku pokojowa: a zdania najbardziej pesymistyczne, mające niedawno jeszcze swoje znaczenie, dziś zupełnie straciły kredyt. Giełda nasza postępuje samodzielnie, obniżając wartość monet obcych i obniżając więcej, aniżeli inne giełdy podwyższając cenę zwykłych pieniędzy, choć działalność swą zamykała w dosyć ciasnych granicach. Czy słusznie—zobaczymy. Dostyć, że waluty obecne znowu straciły 4% w ostatnim tygodniu. Za markę płacono ostatecznie 46⁸ kop., za gulden 79³/₄ kop., za frank 38 kop., za półimperyal rs. 7 k. 82.

Kursa papierów trzymają się dobrze, bo Listy Zastawne nowe wciąż obracają się około 98, a Listy Likwidacyjne około 86; natomiast Listy Zastawne m. Warszawy we wszystkich trzech seryach mają się ku obniżce, a dążność jest bardzo słabą. Pożyczki Premie rosyjskie w obydwu emisjach znajdują kupujących po 230—232, druga emisya jest bardziej poszukiwaną.

Na targu zbożowym panuje zastój, dający się wytłumaczyć obecnymi wypadkami. Zastój ten, odbija się i na naszym targu, na którym ceny zboża przy małych fluktuacyach mają się bardziej ku obniżce. Notujemy bowiem: pszenica pstra i dobra 8.40, biała 9.30, wyborowa rs. 10, żyto 5.40, owies 3.50.

DO WSZYSTKICH.

—Dokończenie artykułu o A. Wielopolskim zamieścić możemy dopiero w numerze następnym.
—P. Wik. Ber. w *Niemierowie*. 3-ci t. kosztować Pa-na będzie rs. 3 kop. 50 z przesyłką.
—P. Paj. w *Iwangrodzie*. Tablice, o których mowa, będą dołączone w końcu dzieła.

ŚWIAT

Dwutygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Daleci wyszedł № 1.

WOJNA WSCHODNIA 1877/8 r.
Ilustrowana.

wyszedł Seryi III, Zeszyt XII.

Cena zeszytu kop. 10, z przesyłką pocztową kop. 15.

Do dzisiejszego numeru dla wszyt. prenum. dołącza się ark. Panteonu (Ziemia i jej mieszk. Tabel. ark. 3); oraz dodatek za Styczeń. „La San Felice” Tom XI.